

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie

Ul. 10-go Maja

Tylko u nas: Mała uliczka w Głogowie. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Co sprawiło, że większość z nich żyje jak wielka rodzina? W czym tkwi fenomen ulicy 10-go Maja w Głogowie

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

O rzeczach, które zostają – rozmowa z Korą Teą Kowalską

● Debiut literacki gdańszczanki był nominowany do nagrody w tegorocznym konkursie o nagrodę Nike

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80
LAT

Piątek
10.10.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 236 (24 597) // Rok 80
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Pożegnanie

Zmarła Barbara Szczepuła

– publicystka przez wiele lat związana z „Dziennikiem Bałtyckim” **str. 2**

KULTURA

Czas, kiedy księgi traktowano wyjątkowo

Blisko 160 zabytków, w tym księgi liczące setki lat, można obejrzeć na nowej wystawie w malborskim zamku. Nowa ekspozycja czasowa daje odpowiedź na pytanie o źródła dzisiejszego ekslibrisu, małej sztuki graficznej, ale ukazuje też relację człowiek – książka przed wiekami.

Wyjątkowym eksponatem jest Biblia biskupa Jarosława Skotnickiego z końca XIV wieku.

Czytaj str. 24-25

PULS – KOMENTARZ

Chopin nieobjęty nocną prohibicją

Już dawno między bajki można włożyć pokutującą niegdyś wśród znawców opinii, że Azjaci grają Chopina perfekcyjnie tylko i wyłącznie technicznie, nie oddając ducha muzyki. To krzywdzący stereotyp.

Czytaj str. 26

PROBLEM CHOROWALI NA RAKA, DZIŚ STAJĄ PRZED MUREM BEZDUSZNYCH PRZEPISÓW

Chcą mieć prawo do normalności



W kilkunastu krajach Europy chorzy na raka po kilku latach od zakończenia leczenia mają prawo do nieujawniania choroby, kiedy ubiegają się o kredyt czy ubezpieczenie. Chodzi o the right to be forgotten, czyli prawo do bycia zapomnianym. Parlament Europejski zobligował wszystkie kraje, by proces formalnego usankcjonowania go zakończył się w bieżącym roku. W Polsce uda się to prawdopodobnie w 2026 roku **str. 4**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



Nie żyje Barbara Szczepuła. Dziennikarka i pisarka, nasza redakcyjna koleżanka



Barbara Szczepuła z bliskimi



Basia w redakcji „Dziennika Bałtyckiego”



Autorka książki podczas wywiadu dla telewizji

Kamila Kubik
Gdańsk

Zbierała ludzkie losy, chciała uchronić je od niepamięci. Rozmawiała, zawsze dopytywała. Jak nikt umiała snuć opowieści. Tak ją zapamiętamy. Była doskonałą dziennikarką, reportażystką, pisarką. Pracowała w „Dzienniku Bałtyckim” przez wiele lat, także jako szefowa Rejsów. Później widywaliśmy ją na wernisażach, rozmowach z pisarzami. Na protestach i spacerach po ukochanym Gdańsku. Basiu, trudno uwierzyć, że nie będzie już tych spotkań.

Urodziła się w Tarnopolu. Ukończyła architekturę na Politechnice Gdańskiej, dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Podjęła też studia na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. Była członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Gdańsk pokochała miłością wielką!

- W gruncie rzeczy od lat piszę jedną i tę samą książkę - o budowaniu gdańskiej tożsamości, mówiąc językiem socjologii. O ludziach, którzy po wojnie osiedlili się w Gdańsku: o przesiedlonych z Kresów, wypędzonych z Warszawy po powstaniu, o przybyłych tu z innych jeszcze stron,

ale także o mieszkańcach Wolnego Miasta i Kaszubach. Zbieram opowieści o tym, co szczególnie ludzie zapamiętali. To może być pułapka, bo - tu powołałam się na Ryszarda Kapuścińskiego - każdy zapamiętuje zdarzenia inaczej. Dotarcie do przeszłości takiej, jaka była, jest prawie niemożliwe. Ale w sumie te okruciny pamięci składają się w ciekawą, mam nadzieję, historię - powiedziała w rozmowie o książce pt. „W domu wroga”.

Duch miejsca, czyli Gdańsk jako ukochany bohater
Pierwszą książkę, którą napisała - „Przystanek Politech-

- Zdążyłam sporo tych ludzkich losów zebrać. Warto uchronić je od niepamięci, bo pozwalają zrozumieć, jak powstawał specyficzny, gdański genius loci

nika” - Czytelnicy „Dziennika Bałtyckiego” uznali za najlepszą książkę roku 2004. Stała się bestsellerem!

W „Miłości w cieniu polityki” przybliżyła nam biografię działaczki „Solidarności” z Gdańska, sygnatariuszki Porozumień Sierpniowych Aliny Pienkowskiej. Otrzymała za nią prestiżową Nagrodę Miasta

Gdańska w Dziedzinie Kultury Splendor Gedanensis.

- Zdążyłam sporo tych ludzkich losów zebrać. Warto uchronić je od niepamięci, bo pozwalają zrozumieć, jak powstawał specyficzny, gdański genius loci i z czego w 1980 roku wyrosła „Solidarność” - mówiła Barbara.

„Dziadek w Wehrmachcie” to z kolei Jej opowieść o Kaszubach wcielanych do armii III Rzeszy, a zbiór reportaży historycznych „Kod Heweliusza” przybliżył historię gdańszczyzan z Wolnego Miasta, oraz wszystkich tych, którzy przybyli tu z Kresów, by wspólnie odbudować zniszczone miasto.

- „Każdy, kto kocha Gdańsk i chce wiedzieć więcej o ludziach, którzy tu mieszkali i mieszkają, znajdzie w tej książce obrazy zdarzeń i portrety, których się nie zapomina. (...) Opowieść, którą daje nam Barbara Szczepuła, jest piękna, mądra, wieloznaczna i nie jeden raz przejmująca” - powiedział Stefan Chwiniński.

Rada Miasta Gdańska przyznała Barbarze Szczepule Medal Księcia Mściwoja II „za wybitną działalność publicystyczną, autorską i odwagę, z jaką porusza trudne tematy z przeszłości Gdańska oraz takt, z jakim je omawia”.

© P

0011414368



Mężowi, Synowi i Bliskim

śTp

Barbary Szczepuły

składamy
najszczerze kondolencje

redakcja „Dziennika Bałtyckiego”

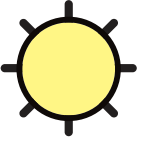


TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

POGODA NA WEEKEND

Piątek 15°C 11°C  Wiatr pñ.-zach. 24 km/h Uwaga Częściowo słonecznie	Sobota 15°C 10°C  Wiatr pñ.-zach. 22 km/h Uwaga Zachmurzenie duże	Niedziela 14°C 7°C  Wiatr pñ.-zach. 22 km/h Uwaga Przełajciowe zachmurzenie
---	---	--

WAŻNE TELEFONY

800 190 590
– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzania zakażenia koronawirusem

605 602 195
– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444
– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00

KURSY WALUT

9.10.2025 Kupno/sprzedaż walut (Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan)			
EUR	422/429 (+)	GBP	486/493 (+)
USD	363/370 (-)	CHF	453/460 (-)
GBP	486/493 (+)	(+/-) wzrost/cena w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian	
CHF	453/460 (-)		

DYŻURNY „DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń
„Dziennika Bałtyckiego”
i czekam na Państwa listy
pod adresem:
andrzej.kowalski
@polskapress.pl

Andrzej
Kowalski



Polski urzędnik szpiegował dla rosyjskiego wywiadu?

Marcin Koziestański
Warszawa

Do Sądu Okręgowego w Warszawie skierowany został akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L., oskarżonemu o szpiegostwo oraz przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego.

Informację przekazał Jacek Dobrzyński, rzecznik koordynatora służb specjalnych. Prokuratura zarzuca Tomaszowi L. udział w działalności rosyjskiego wywiadu.

Dobrzyński przekazał w czwartek na platformie X, że akt oskarżenia jest wynikiem długotrwałego i wielowątkowego postępowania prowadzonego przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod nadzorem Prokuratury Krajowej.

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez funkcjonariuszy ABW 17 marca 2022 r. - wynika z szerzej informacji opublikowanej na stronie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po tym zatrzymaniu prokuratura, na podstawie materiałów ABW, wszczęła śledztwo, a sąd zastosował wobec niego środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który był przedłużany.

ABW przekazała, że 11 września 2025 r. prokurator z Mazowieckiego Wydziału



Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez ABW 17 marca 2022 r.

Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej skierował do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L. Śledczy zarzucili mężczyźnie branie udziału, w okresie od 2017 r. do dnia 17 marca 2022 r., w działalności rosyjskiego wywiadu cywilnego oraz przekazywanie temu wywiadowi informacji, które mogły wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.

„W wyniku długotrwałego i wielowątkowego postępo-

wania przygotowawczego prowadzonego przez ABW pod nadzorem ww. Prokuratury, zebrano obszerny materiał dowodowy, z którego wynika, że Tomasz L., będąc pracownikiem Wydziału Archiwalnego Ksiąg Stanu Cywilnego Urzędu m.st. Warszawy i posiadając dostęp do jego zbiorów oraz systemów, pozyskiwał służbową dokumentację i materiały, które przekazywał rosyjskiej służbie wywiadowczej” - wyjaśniono w komunikacie.

Prokuratura Krajowa poinformowała w czwartek, że

z materiału dowodowego wynika, że Tomasz L. miał kopiować na prywatne nośniki i fotografować telefonem służbowe dokumenty, w tym akty stanu cywilnego obywateli polskich i cudzoziemców, korespondencję z placówkami dyplomatycznymi, urzędowe szablony, wytyczne i inne dane.

„Uzyskiwane dane i dokumenty umożliwiały m.in. wykonanie przez obce służby dokumentacji legalizacyjnej dla budowania tożsamości tzw. nielegalów. (...) Dane te przekazywał następnie ustalonemu oficerowi wywiadu za pomocą zakamuflowanej łączności radiowej. Wcześniej został w tym zakresie przeszkolony przez rosyjskie służby” - podała PK.

Po zatrzymaniu na wniosek prokuratury sąd zastosował wobec Tomasza L. środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który następnie był przedłużany, w tym ostatnio przez Sąd Apelacyjny w Warszawie na kolejnych 6 miesięcy, tj. do 25 marca 2026 r.

Tomasz L. nie przyznał się do zarzucanego mu czynu. Na początkowym etapie śledztwa złożył wyjaśnienia. Podczas następnych przesłuchań korzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień - przekazali śledczy w komunikacie.

PAP

Polscy obywatele z flotyli Sumud wrócili do kraju. Poseł KO ma pretensje do Radosława Sikorskiego

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Polscy uczestnicy flotyli humanitarnej do Strefy Gazy - Omar Faris, Nina Ptak, Franciszek Sterczewski i brytyjska dziennikarka polskiego pochodzenia Ewa Jasiewicz są już w Polsce.

Polacy znajdowali się w grupie ponad 470 osób z 47 państw biorących udział w Globalnej Flotyli Sumud (GSF). Morski

konwój humanitarny został przechwycony w ubiegłym tygodniu w nocy ze środy na czwartek na wodach międzynarodowych przez izraelską marynarkę wojenną. Przejęto 42 statki, a ich załogi sprowadzono do Izraela, zatrzymano i deportowano.

Po przylocie na warszawskie lotnisko Chopina przewodniczący polskiej delegacji Omar Faris powiedział, że wszyscy muszą być razem przeciwko ludobójczej wojnie w Strefie Gazy. Re-

lacionował też, że uczestnicy flotyli byli traktowani „w sposób absolutnie brutalny”.

- Przez kilka godzin, ja mam 73 lata, wiązali moje ręce do tyłu i na kamienie wsadzili - mówił Faris na briefingu prasowym.

Sterczewski pytał, dlaczego w czasie, kiedy uczestnicy flotyli robili wszystko, żeby zakończyć to ludobójstwo, zwrócić uwagę świata na to, co tam się dzieje, minister Sikorski bagatelizował sytuację. Jak zaznaczył, nie oczekuje od Sikor-

skiego dymisji, a „natychmiastowej zmiany polityki rządu polskiego”.

Rzecznik MSZ Maciej Wewiór proszony o komentarz w sprawie zarzutów aktywistów zapewnił, że resort chroni interesy Polski i jej obywateli, korzystając z narzędzi dyplomacji.

„Dobrze, że dzięki tym działaniom trójka naszych obywateli jest już wolna i mogła wrócić do kraju” - napisał w przesłanym do PAP komentarzu. PAP

LITERATURA

O rzeczach, które zostają - rozmowa z Korą Teą Kowalską. Pisanie jest dla mnie naturalną czynnością i najłatwiej wyrażam się właśnie w ten sposób. Natomiast niekoniecznie to lubię. Uwielbiam „mieć napisane”, ale nie lubię samego procesu, ponieważ w moim wydaniu jest to okropnie niezdrowe. Piszę tylko nocami, bo tylko wtedy działa mi mózg, i piszę etapami **STR. 6-7**



FOT. ALINA ZAWOJDZIN

STYL ŻYCIA

Do pracy w agencji reklamowej nie wróćę

Gdańszczanka Kasia Czaplewska zwiedziła 32 kraje świata i jeszcze nie powie-
działa w tej kwestii ostatniego
słowa

STR. 16-17

CHCĄ PRAWA DO ZAPOMNIENIA

W niektórych krajach Europy chorzy na raka po kilku latach od zakończenia leczenia mają prawo do nieujawniania choroby, kiedy ubiegają się o kredyt czy ubezpieczenie. W Polsce pacjenci wciąż czekają na taką ustawę

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Chodzi o „the right to be forgotten”, czyli prawo do bycia zapomnianym. Parlament Europejski zobligował wszystkie kraje, by proces formalnego usankcjonowania go zakończył się w bieżącym roku. W Polsce stanie się to prawdopodobnie z opóźnieniem.

Pomysł, by wprowadzić to prawo do codziennej praktyki na mocy ustawy, zrodził się kilka lat temu. W raporcie Parlamentu Europejskiego zapisano, że państwa członkowskie powinny zagwarantować pacjentom onkologicznym powrót do normalnego funkcjonowania w społeczeństwie po leczeniu.

Klienci dużego ryzyka

Już prawie zapomnieli o bólu, strachu, szpitalnej sali i kroplówce, która krępowała każdy ruch i nie pozwalała wstać z łóżka. Już prawie zapomnieli, że to przez chorobę nowotworową musieli opuszczać lekcje i nie wolno im było wychodzić na podwórkę. Dziś mają po 20, 30 lat lub więcej i niemal pewność, że uda się im wrócić do normalnego życia. Zderzenie z rzeczywistością sprawia, że normalność wydaje się fikcją.

Przeżyłam szok, gdy bank odmówił mi kredytu, ponieważ kiedyś chorowałam na raka, wiele, wiele lat temu - wspomina Aldona Więckowska, 35-latką z Gdańska. - Leczona byłam w Akademii Medycznej przez panią profesor Balcerską. To dawne czasy, teraz sama mam dwoje dzieci.

Bez kredytu mała firma, którą z mężem i bratem próbowała rozkręcić, nie miała szans rozwoju.

- O takich „przypadkach”, jak pani Aldona, słyszymy niemal codziennie. Osoby, które w wywiadzie medycznym mają zapisaną historię leczenia

onkologicznego, są dla firm ubezpieczeniowych klientami zbyt dużego ryzyka - przyznaje Kamil Dolecki, prezes Stowarzyszenia Pomocy Chorym na Mięsaki i Czerniaki „Sarcoma”. Kamil wie, co mówi, bo na co dzień pracuje jako programista w firmie ubezpieczeniowej. No i sam był pacjentem onkologicznym.

Pierwsze objawy choroby pojawiły się w październiku 1995 roku, gdy po upadku z roweru doznałam urazu prawej nogi - wspomina Kamil, wówczas 17-latek. Diagnozę postawił lekarz z Centrum Onkologii w Warszawie; mięsak Ewinga kości strzałkowej, agresywny, złośliwy nowotwór kości i tkanek miękkich, który występuje głównie u dzieci i ludzi młodych.

Trudna terapia

Następnego dnia Kamil dostał pierwszą chemię.

- Mój organizm nie zareagował na nią najlepiej. Większość czasu spędzałem w toalecie i na sam widok kroplówki robiło mi się słabo - wspomina. - Stan bezradności, załamania i walki z emocjami trwał około półtora miesiąca. Cały czas wiedziałem, że jest ze mną moja rodzina, moi przyjaciele, koledzy i nauczyciele ze szkoły, i ta myśl naprawdę dawała mi siłę do przetrwania leczenia. Splot wszystkich wydarzeń, zachowań i relacji z ludźmi pozwolił mi przetrwać leczenie z sukcesem. Leczenie zakończyłem 30 lat temu.

Kamil rozumie, że firma ubezpieczeniowa nie jest instytucją charytatywną i też musi zarobić. Dlatego kalkuluje ryzyko.

- Dziś każdy z nas pytany jest na potrzeby określenia ryzyka, o swoją historię zdrowotną - mówi. - Tam jest wiele pytań, na które mamy wpływ. M.in. o to, czy palimy papier-



FOT. 123RF

Pytania banków o dawną chorobę utrudniają byłym pacjentom onkologicznym normalne funkcjonowanie

rosy, czy mamy nadwagę, jaki zawód wykonujemy. Ale jest pytanie również o to, czy kiedykolwiek przeszliśmy chorobę nowotworową. Rozumiem, że musi być takie pytanie i to jest w porządku, ale gdy dotyczy 10 ostatnich lat u osób dorosłych, a u dzieci maksymalnie 5 lat.

W swojej firmie Kamil również ma zwiększoną składkę, i to nawet trzykrotnie. To jest jego zdaniem dyskryminacja, bo leczenie zakończył 30 lat temu, a to oznacza, że szansa na nawrót choroby jest bliska zeru. - Dlatego stoję teraz w obronie tych, którzy w wieku 25 czy 30 lat chcą wziąć kredyt na mieszkanie. I dostają informację, że nie mogą ubezpieczyć się na życie, co przekreśla ich szanse na kredyt lub ubezpieczyciel nałoży im taką składkę, że znacznie podroży to koszty kredytu.

Na poziomie UE

Wprowadzenie prawa jest wynikiem rezolucji Parlamentu Europejskiego, dotyczącej wzmocnienia Europy w walce z chorobami nowotworowymi poprzez wdrożenie kompleksowej, skoordynowanej strategii.

- Jest to rezolucja na poziomie Unii Europejskiej, stworzona po to, aby działać

na rzecz pacjentów - potwierdza prof. dr hab. n. med. Piotr Rutkowski, kierownik Kliniki Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Onkologicznego, współprzewodniczący Sieci Systemów Opieki Onkologicznej i Oceny Jakości w Europejskiej Organizacji ds. Raka.

- Są ku temu dwie przesłanki - zapewnia lekarz. - Pierwsza jest bardzo prosta - ponieważ dyskryminujemy ludzi, którzy zachorowali na nowotwór i zostali wyleczeni. Nam chodzi o to, że mamy coraz lepsze wyniki leczenia nowotworów i chcemy, żeby osoby, które przeżyły nowotwór, traktowały to jako normalną chorobę, żeby miały szanse na normalne życie, ale przede wszystkim zależy nam na tym, żeby wykrywać jak najwcześniej nowotwory. Prowadzimy programy profilaktyczne i osoba, która w nich uczestniczy, będzie miała pecha albo szczęście, że będzie miała wcześniej wykryty nowotwór i dzięki czemu terapia zakończy się sukcesem. I jest jakby za to dodatkowo karana, ponieważ nie może wziąć kredytu hipotecznego. To nie jest normalne.

Na poziomie europejskim, w Brukseli, od kilku lat pracuje (wraz z belgijskim profesorem onkologii Françoise Meunierem) Kinga Wójtowicz, dyrektor jednego z projektów.

- Prawo do bycia zapomnianym dotyczy tylko i wyłącznie byłych pacjentów onkologicznych i ich dyskryminacji w zakresie usług finansowych - tłumaczy Kinga Wójtowicz. - Oznacza to, że po określonym czasie od zakończenia leczenia, czyli zazwyczaj po pięciu, dziesięciu latach, byli pacjenci onkologiczni nie powinni mieć obowiązku zgłaszania złej choroby.

Jednym z państw, które niedawno wprowadziło to prawo, jest Rumunia. Gwarantuje ono, że byli pacjenci onkologiczni nie będą traktowani inaczej ze względu na historię choroby i po zakończonym leczeniu będą mieli takie same prawa do wszystkich usług, jak ktoś, kto nie przeszedł choroby nowotworowej.

Polscy pacjenci chcą dołączyć

Takie rozwiązanie chroni przede wszystkim młode osoby, które mimo wyleczenia, spotykają się z barierami wynikającymi wyłącznie z historii medycznej. Dużym problemem jest trudność skorzystania z podstawowych usług finansowych, np. wzięcia kredytu. W Polsce prawo do bycia zapomnianym jeszcze nie obowiązuje, ale trwają intensywne prace nad jego wprowadzeniem. To dobra wiadomość dla reszty osób, które zakończyły leczenie onkologiczne i chcą bez przeszkód planować przyszłość.

- Wciąż nie wprowadziliśmy prawa do bycia zapomnianym - ubolewa prof. Piotr Rutkowski, współprzewodniczący Sieci Systemów Opieki Onkologicznej i Oceny Jakości w Europej-

skiej Organizacji ds. Raka. - W związku z tym my podjęliśmy działania w ramach Zespołu Narodowej Strategii Onkologicznej. Zwróciliśmy się do Ministerstwa Zdrowia, spotkaliśmy się z Rzecznikiem Praw Obywatelskich, Rzecznikiem Praw Pacjenta oraz z Rzecznikiem Finansowym. Wygląda na to, że jesteśmy na dobrej drodze, mamy duże poparcie, właściwie wszystkich tych środowisk, w tym również Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, bo głównym problemem są obawy instytucji finansowych, że ustawa zrujnuje sytuację budżetową kraju.

Jak deklaruje nasz rozmówca, najistotniejszym zadaniem zwolenników wprowadzenia „prawa do zapomnienia” jest przekonanie Ministerstwa Finansów, że zmiana przepisów nie wiąże się z żadnym ryzykiem dla ubezpieczycieli. Że ryzyka nie ma, pokazują przykłady innych krajów, w których funkcjonowanie nowego prawa nie wpłynęło negatywnie na finanse państwa. Większość krajów przyjęła rozwiązania uznające, że należy usunąć wrażliwe dane po dziesięciu latach u dorosłych pacjentów, a u dzieci do 18. roku życia po pięciu latach.

- Chcemy wybrać ten wariant, bo po dziesięciu latach ryzyko nawrotu choroby jest znikome, w granicach promila - mówi prof. Piotr Rutkowski. - Wprowadzenie prawa do bycia zapomnianym ma obok wymiaru prawnego również wymiar społeczno-psychologiczny. Choroba nowotworowa to nie tylko walka o zdrowie, ale także ogromne obciążenie emocjonalne. Umożliwienie powrotu do normalności - bez stygmatyzacji i dyskryminacji - to ważny krok w kierunku wsparcia pacjentów po terapii rakowej.

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

0011380135

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powódzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska. Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych. Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej. Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów. Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych nieruchomości naniесień, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wezbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



O RZECZACH, KTÓRE ZOSTAJĄ – ROZMOWA Z KORĄ TEĄ KOWALSKĄ

Pisze nocami, z głową pełną przedmiotów i wspomnień. W debiutanckiej książce „Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy” Kora Tea Kowalska opowiada o zbieractwie, przywiązaniu, które z czasem zaczyna ciążyć i o próbie uporządkowania chaosu. Rozmawiamy o pisaniu, materii, która ma swoje życie i o tym, dlaczego pozbywanie się rzeczy bywa trudniejsze niż ich gromadzenie

Aleksandra Trzaska

Jak to zrobiłaś, że „Patrz pod nogi” od razu dostało nominację do Nike i znalazła się w ścisłej siódemce? To przecież twój debiut literacki.

I do Gdyni i do Pomorskiej Nagrody Wiatr od Morza też! To wspaniałe i jednocześnie dla mnie zaskakujące, tym bardziej, że nie byłam zakotwiczona w literackiej bańce w żaden sposób. Właściwie nie znając nikogo, udało mi się trafić na najistotniejsze wydarzenia literackie. A może nie tyle mnie się udało, co mojej książce. A z tym bywa przecież różnie, dziennie w Polsce jest średnio 9 premier książkowych, a życie książki bywa bardzo krótkie, gdy mówi się o niej dłużej niż przez dwa-trzy miesiące, jest to uznawane za sukces. I tak naprawdę nigdy się tego nie przewidzi, szczególnie gdy wydaje się w stosunkowo niszowym wydawnictwie, które nie ma tak potężnych narzędzi marketingowych jak wielkie oficyny. Tam machina reklamowa nie działa na zasadzie wielkiego rozpędu, tylko wszystko dzieje się oddolnie. Recenzja się pojawi albo nie. Ktoś zaprosi Cię na kolejne spotkanie autorskie albo nie zaprosi. Z drugiej strony, ta niszowość Karakteru to także znak jakości. Ich hasłem, które darzę miłością, to „wydajemy co nam się podoba” i jest to zaledwie dwadzieścia książek rocznie, więc każda książka jest wydarzeniem. To jest forma zapewnienia, że utrzymywany jest określony poziom, że odbywa się tam selekcja. Bardzo się cieszę, że udało mi się wydać książkę właśnie w Karakterze.

Cenię to wydawnictwo nie tylko za wybór autorów i tekstów ale również za szatę graficzną. Okładka Twojej



Kora Tea Kowalska, autorka książki „Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy”

książki jest wspaniała. Jak trafiłaś do Karakteru?

Nie pisałam do miliona wydawnictw. Stwierdziłam, że moim wymarzonym wydawnictwem jest właśnie Karakter. Napisałam do nich, wysłałam jakieś fragmenty i odezwali się następnego dnia: „Robimy to”. Wtedy już

*PRZEDĘ WSZYSTKIM CHCIAŁA-
BYM ODPOCZAĆ OD RZECZY.
MOŻE KIEDYŚ DO NICH WRÓCĘ,
ALE TERAZ MAM OCHOTĘ NA COŚ
ZUPEŁNIE INNEGO*

trzeba było skończyć książkę. Do ostatniego dnia nie wiedziałam, że to się uda. Skończyłam pisać 1 kwietnia, w Prima Aprilis, nad ranem. I wtedy komputer zrobił mi psikusa, zamknęłam plik, poszłam wypić kawę, otworzyłam go ponownie i okazało się, że wszystko, co napisa-

łam przez ostatnie cztery dni zniknęło. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Automat zapisywał to na wirtualnym dysku. Taki żart na Prima Aprilis od martwych rzeczy - bardzo udany (śmiech).

Czy napisanie książki poszło ci tak samo szybko jak znalezienie wydawcy?

Wręcz przeciwnie (śmiech). Już dekadę temu zaczęłam myśleć o tym, jaka ta książka powinna być. Wymyślałam jej strukturę, co powinno się w niej znaleźć. I tak sobie to powoli drążyłam i układałam w głowie. Poza tym okropnie prokrastynuję, do momentu aż mam nóż na gardle. Póki nie musiałam, to jej nie pisałam. Stałam się nawet rodzinnym mem: „Kora, czy ty jeszcze nie napisałaś książki?”

Lubisz pisać?

Pisanie jest dla mnie naturalną czynnością i najłatwiej wyrażam się właśnie w ten sposób. Natomiast niekoniecznie to lubię. Uwielbiam „mieć napisane”, ale nie lubię samego procesu, ponieważ w moim wydaniu jest to okropnie niezdrowe. Piszę tylko nocami, bo tylko wtedy działa mi mózg, i piszę etapami, a wtedy nie wychodzę z tego mojego „gniazda”, które sobie robię z książek, kartek, niedopitych kaw i Red Bulli. To jest potworne, ponieważ jest bardzo męczące. Więc jak już siadam, to piszę tak, żeby nie wracać do tekstu, nie poprawiam, po prostu piszę na czysto. To jest bardzo spalające.

Brzmi jak tortury.

Gdy napisałam pierwszą część, to byłam tak zmęczona, że musiałam odczekać rok, żeby ją dokończyć. Był

FOT. ALINA ZAMOJDZIN

taki moment kiedy pomyślałam: „Może to jednak nie jest mi pisane, żeby wydać książkę? Może nie każdy musi?”, ale wróciłam do pisania.

Piszesz o swoim zbieractwie, wygrzebywaniu przedmiotów z ziemi, z kontenerów, że to nie ma końca, trudno się zatrzymać. Twoja książka jest pełna dygresji: są wspomnienia z dzieciństwa, anegdotki rodzinne, a obok tego opisy i historie poszczególnych znalezisk. Jak udało ci się skończyć tę książkę?

To jest świetne pytanie, bo bardzo rzadko ktoś je zadaje, a dla mnie właśnie konstrukcja była najważniejszym elementem. Tam wszystko jest zamierzone. Ten chaos też jest zamierzony, bo stwierdziłam, że popełnię świadomą tautologię: jeśli piszę o chaosie materii, to nie mogę tego ująć w schludne kategorie. To byłoby zaprzeczeniem treści. Dałam sobie więc przyzwolenie na to, żeby to wszystko było splątana siecią znaczeń, które przewijają się przez wszystkie trzy części. Wbrew pozorom, konstrukcja jest bardzo prosta: zaczyna się od ziemi i rzeczy wyrzucanych, które wydobywam. A potem mamy życie na powierzchni, czyli żywą materię, nieokreślonego pochodzenia, z którą się stykamy wszystkimi zmysłami, aż wreszcie docieramy do śmierci w gablocie rzeczy odnalezionych, które mają swój kres. Kres różnie pojmowany: bo kolekcja się rozpada, bo człowiek umiera, bo przedmiot trafia do muzeum. A jednocześnie to wszystko zamyka się w pętli - końcówka książki to powrót do początku, czyli znów do chaotycznego grzebania pod ziemią, w tym przypadku w piwnicy u rodziców.

Epilog jest bardzo smutny. Twój tata, stojący w piwnicy, zrezygnowany. Chyba nie zapomniał nad mamą, która wszystko wyrzuca.

Dokładnie tak. I cudownie, że zwróciłaś uwagę, że to jest smutne, bo takie miało być. To się działo na żywo - kończyłam książkę, a moi rodzice w tym czasie przeprowadzali się do domu w lesie, spełniali swoje życiowe marzenie, ale musieli się pozbywać nadmiaru rzeczy. Nie mówili mi o tym, bo wiedzieli, że nie pozwolę. Dowiedziałam się na końcu i byłam bardzo zła. Ale potem pomyślałam, że może to jest jakaś ulga? Że to przywiązanie do rzeczy jest silne, ale też działa jak fala, co może zaskakujące, u mnie raczej opadająca. I że coraz bardziej rozumiem decyzje moich rodziców i innych ludzi, którzy postanawiają przestać zbierać, albo po prostu są już

niechętni wobec własnej kolekcji.

Jesteś właśnie na tym etapie?

Myślę, że tak. Właściwie cała książka była próbą odtworzenia stanu umysłu osoby ogarniętej obsesją i kompulsją, która przeżywa to bardzo emocjonalnie. Ale to już nie był mój stan w momencie pisania. Ja to przerobiłam. To był raczej powrót, próba wejścia w to na nowo, już z dystansem.

Więc przychodzi taki moment, kiedy naprawdę jesteś w stanie rozstać się z przedmiotami? Nawet jeśli wiąże się z nimi to uczucie satysfakcji znalazcy, który wydobywa coś z nicości i przywraca temu wartość?

Tak. To przywiązanie bywa równie silne, jak to wobec ludzi, a czasem nawet silniejsze. Gdy staje się silniejsze, to wchodzimy już na niebezpieczne terytorium. To balansowanie na granicy, bardzo ciężko się powstrzymać. Trudno nie podnieść kolejnego grata spod śmietnika, a już najtrudniej jest się czegoś pozbyć z własnej woli. Zaczynam to robić, co więcej odnajduję w tym przyjemność. Kiedyś w Sobieszewie likwidowano ośrodek domków z lat 70. Oczywiście pojechałam i nabyłam jakieś stare krzesła i fotel. Nie były jakieś świetne, ale wtedy wydawało mi się, że to super okazja. Postanowiłam, że oddam je do tapicera, odnowię. Minęło 10 lat, renowacji nie zrobiłam. Fotel stał w pokoju przykryty ładnym kocem, ale nikt na nim nie siadał, bo był niewygodny, wychodziły z niego sprężyny. I ostatnio pomyślałam: dzisiaj jest ten dzień, kiedy pozbędę się tego fotela.

PISZĘ TYLKO NOCAMI, BO TYLKO WTEDY DZIAŁA MI MÓZG I PISZĘ ETAPAMI, A WTEDY NIE WYCHODZĘ Z TEGO MOJEGO „GNIĄZDA”

Kupiłam nowy, wygodny. Siędzę na nim cały czas. I nie obchodzi mnie, że jest z Ikei. Może mogłabym mieć bardziej designerski? Ale chodzi o to, żeby rzeczy nie zabierały mi życia. Mogłam siedzieć wygodnie od 10 lat, a nie siedziałam.

Nie ukrywam, że czytając książkę, cały czas z tyłu głowy miałam pytanie: gdzie ty to wszystko trzymasz? Kolekcja lalek, plastikowych misiów, guzików...

To, o czym mówisz to masa ale drobna. Kiedyś mój ojciec przyniósł z jakiegoś zakładu starą, żeliwną Jedynekę. Stała w piwnicy rodziców, dalej stoi ale już teraz w mojej. I pewnie będzie tam do ostatnich dni, bo co można zrobić z wielką, ciężką żeliwną Jedyneką? To są właśnie takie głupoty, dlatego już się nie dziwię, że matka kazała mu się jej pozbyć. Bo ile można trzymać w piwnicy coś, czego nawet się nie ogląda?

Ale wiesz, że tam jest.

No tak. Ta świadomość czasem wystarczy, ale to są takie protezy przyjemności. Dlatego staram się cieszyć przedmiotami, czyli traktuję je użytkowo. Wszystko, co mam, stare wazoniki, zastawy od sasa do lasa, śmietnikowo-jarmarczne skarby są w użyciu. Nawet jeśli coś jest w gablocie, to po to, żeby jak

przyjdą goście, to podać w ładnym, a nie w brzydkim. W wazonach zawsze są kwiaty z działki. Coraz bardziej też lubię chować. Pokupowałam sobie metalowe szafki z szufladkami i tam wszystko trzymam. Opisuję, co jest w każdej szufladce, na przykład „drobnica PRL”. Ale ostatnio już mnie to męczy. Chciałabym mieć puste ściany, żeby móc sobie coś powiesić. Mam imponujący zbiór starych plakatów filmowych, świetne rzeczy z lat 50., 60, ale nie ma gdzie ich wyeksponować. A jeszcze mąż malarz, też by chciał sobie czasem powiesić swój obraz. Więc to jest taka wieczna rozkada.

Używamy słowa „kolekcja”, które zwykle kojarzy się z cennymi rzeczami, z wartością inwestycyjną. Jak funkcjonujesz w świecie kolekcjonerów?

W ogóle w nim nie funkcjonuję. Oczywiście znam wielu kolekcjonerów, zbieraczy, handlarzy. I oni mnie zaakceptowali jako „tę dziwną, co zbiera gównidła”. Przez lata dawali mi to, czego sami nie chcieli, co było bezwartościowe ale wiedzieli, że mnie ucieszy. Więc część moich zbiorów to po prostu dary losu. Tak samo od tych, co kopią po lasach, przynosili mi swoje znaleziska. Ja nigdy tym nie handlowałam. Nie interesuje mnie wartość materialna.

Mam to, co chcę mieć a nie to, co warto mieć albo co wypada mieć. Czasem myślę, że nawet nie chodzi o posiadanie tylko o wiedzę. A żeby wiedzieć, trzeba najczęściej coś mieć.

To jedna z rzeczy, które mnie zachwyciły w „Patrz pod nogi” - proces dochodzenia do informacji o przedmiotach.

Uwielbiam to! Najpierw wybór estetyczny: jak mówi mój tata: „Coś się do mnie uśmiecha albo nie”. Jak się uśmiecha to biorę. Często intuicyjnie. Czasem nie wiem, co to, ale coś mnie frapuje: kolor, faktura, dziwny kształt, zużycie, wyblaknięcie... i wtedy zaczyna się poszukiwanie, badanie tego przedmiotu. Na wszystkie możliwe sposoby, także organoleptycznie. Kontakt z materią jest dla mnie ważny, bo zmysły potrafią powiedzieć więcej niż sam tekst. Moje „gównidła” mają swoją historię. Nawet najbardziej prowokujący przedmiot prowokuje do opowiadania o całym świecie - o modach, o społeczeństwie, o biedzie, bogactwie. Jest w nich zapisany jakiś fragment większej narracji. A oprócz tego opowiadają też o sobie. I to bywa jeszcze ciekawsze.

Czy gen zbieractwa odziedziczyłaś po rodzicach, czy to raczej efekt twojego wykształcenia?

Myślę, że to miks obu tych rzeczy. Z jednej strony to szaleństwo, w które lubię się zanurzyć dla przyjemności, zmysłowej i emocjonalnej. Ale z drugiej strony nakładam na to chłodne oko kulturoznawcy i archeologa. Archeologia nauczyła mnie narzędzi, które pozwalają weryfikować fakty, szukać ukrytych

znaczeń. To jest wieczna zabawa i przygoda, spotkanie z przedmiotem, ale też ze światem wokół niego.

Czyli archeologia to nie był przypadek?

Nie. Zawsze chciałam być archeologiem. W dzieciństwie to był mój pierwszy wybór. Oczywiście marzyłam też o byciu piosenkarką, ale kto o tym nie marzył. Moje piosenkarstwo skończyło się na śpiewaniu do tłuczka do kartofli pomalowanego przez mamę na złoto. Archeologia była we mnie zawsze. Studia były koszmarnie i niewiele mnie nauczyły, ale praktyka i praca w zawodzie już tak. I dała mi dystans, nauczyła patrzeć na materię jako na coś całkowicie pozbawionego ludzi. I to mnie interesuje - nie każda rzecz musi mieć za sobą historię smutnej pani czy dziewczynki, która zgubiła misia przed wojną. Mnie interesuje życie przedmiotu jako przedmiotu. I to, że to życie nie kończy się wraz ze śmiercią właściciela.

Powiedziałaś, że chcesz napisać kolejną książkę. O czym?

Przed wszystkim chciałabym odpocząć od rzeczy. Może kiedyś do nich wrócę, ale teraz mam ochotę na coś zupełnie innego. „Patrz pod nogi” było dla mnie eksperymentem, również formalnym. Musiałam skonfrontować się z tym, co myślałam o pisaniu. Zawsze pisałam akademicko, trzymając się ram, a tu musiałam wyjść z siebie, mówić o sobie. Czulałam, że taka narracja, osobista, ale nie sentymalna, jest potrzebna. Opowieść o trudzie, znoju, porażkach i niuansach. Miałam ochotę popłynąć literacko. Myślę o autofikcji. Kusi mnie też wątek śmierci.

Jakie aspekty śmierci masz na myśli? To, co dzieje się po, sam proces umierania, czy może cała otoczką wokół tego tematu?

Chyba wszystko. Ale też trochę o starzeniu się. Chciałabym, żeby to nie było męczące i sentymalne. Raczej żeby spojrzeć na to z innej strony. Bo nie chcę spędzić całego życia w worku z rzeczami. Na pewno nie pójdę w stronę powieści, bo nie mam do tego talentu, nie umiem wymyślać fabuły. Muszę pracować na konkrety i fakcie. Więc pewnie znowu będzie to coś w stylu eseju. Zastanawiam się, czy nie potraktować śmierci przez pryzmat rzeczy: co ja mam z tym cholerstwem zrobić? Bo zaczyna mi to ciążyć. I właśnie od tego chciałabym wyjść - że proces starzenia się, może być też procesem uwalniania się od rzeczy. I to jest coś, co kusi mnie, żeby eksplorować dalej.



Debiut literacki autorki ukazał się nakładem Wydawnictwa Karakter

CV

Kora Tea Kowalska - archeolożka i kulturoznawczyni, wykładowczyni akademicka, pisarka. Zajmuje się teorią i praktyką kolekcjonerstwa, historią kultury materialnej, wzornictwa oraz dokumentacją zabytków powojennego modernizmu. Kolekcjonerka rzeczy wyrzucanych i nieoczywistych, z których tworzy instalacje i wystawy. Zajmuje się ekspertyzą antyków w programie telewizyjnym, a w sieci publikuje jako @odrzeczyklad. W 2024 roku wydała książkę „Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy” w Wydawnictwie Karakter, nominowaną do Literackiej Nagrody Nike i Nagrody Literackiej Gdynia. Mieszka w Gdańsku, najbardziej lubi las.

FOT. ARCH.

„NIE O ZDROWIE TU CHODZI”. O EDUKACJI, KTÓRA DZIELI NAUCZYCIELI I SUMIENIA

O presji, dylematach sumienia, trudnych wyborach i moralnej próbie, przed którą stanęli katecheci - rozmowa z Tomaszem Dargaczem, nauczycielem religii, języka angielskiego, terapii pedagogicznej, byłym dyrektorem Szkoły Podstawowej w Kaliskach Kościerskich

Joanna Surażyńska-Bączkowska

Czy w województwie pomorskim księża katolicy podjęli się nauczania edukacji zdrowotnej?

Nie słyszałem o księdzu katolickim, który podjąłby się nauczania edukacji zdrowotnej w województwie pomorskim. Jednak wiem, że takie zachęty padały i to nawet z ust ministra edukacji Barbary Nowackiej. Teoretycznie byłoby to możliwe. Z moich informacji wynika, iż niektórzy biskupi diecezjalni zabraniają kapłanom nauczania edukacji zdrowotnej (EZ). W nieco łagodniejszym tonie odnoszą się do katechetów świeckich. Najprawdopodobniej rozumieją trudne położenie tysięcy nauczycieli religii w świetle działań MEN.

A jak ocenia pan decyzje katechetów, którzy podjęli się prowadzenia tego przedmiotu?

Nie osądzam katechetów, od tego jest przede wszystkim Bóg. Mogę jedynie pokusić się o ocenę faktu, który nastąpił, ocenę czynu, a nie osądu konkretnego nauczyciela. Otóż jest faktem bezspornym, iż nieliczni katecheci podjęli się nauki edukacji zdrowotnej. W mojej ocenie na takie decyzje nakłada się wiele przyczyn. Część katechetów straciła pracę, bądź jest zatrudnionych na część etatu (np. 9/18 etatu). Niektórzy z nich stanęli wobec wyboru: podjąć się nauczania edukacji zdrowotnej czy pójść na tzw. kuroniówkę. Są więc tacy, którzy wybrali przejście na wcześniejszą emeryturę czy kuroniówkę. Stracili więc możliwości zarobku, utrzymania i wychowania dzieci, rozwoju osobistego. Część zapewne ma niespłacone kredyty na budowę domu, czy kupno mieszkania itp. Katecheci mają przecież egzystencjalne potrzeby, jak każda rodzina. Stąd jest to bolesny cios pani minister pochodzącej ze środowiska lewicowego w matki i żony, a więc kobiety. A ponoć lewica jest wrażliwa na kwestie socjalne i krzywdę obywateli. Ja w działaniach pani minister



Nieliczni katecheci podjęli się nauki edukacji zdrowotnej - mówi Tomasz Dargacz

tego nie widzę. Jednak mogę zaświadczyć, że zdecydowana większość katechetów do tych trudności podchodzi ufnie i z pokorą w duchu „Da Bóg dzień, da i radę”.

Jakie inne przyczyny mogły wpłynąć na takie decyzje?

Są nauczyciele religii, którzy skorzystali z urlopu zdrowotnego, inni nie wytrzymali hejtu i presji, jaka w niektórych środowiskach i mediach ciąży na nich od wielu lat. Od 35 lat część nauczycieli sły-

szy o katechizacji w szkole i Kościele katolickim wszystko, co najgorsze. Są grupą, wobec której jest najmniej przychylności ze strony rządów, polityków, środowisk lewicowych i liberalnych od lat 90-tych XX w. i potwierdza to każda kampania wyborcza. Politycy nie mają litości wobec katechetów, którzy w zdecydowanej większości są żonami i matkami, które wykonują wielce szlachetną pracę wychowania nowego pokolenia, w domu i w szkole.

Jakby problemem w Rzeczypospolitej nie były: bieda, bezrobocie, przestępcy, korupcja, wojna w Ukrainie, Łukaszka czy Putin, ale katecheci, szerzej Kościół. Podkreślę, iż blisko połowa katechetów w Polsce posiada kwalifikacje do nauczania od 2 do 6 przedmiotów, kończąc kilka kierunków studiów wyższych. Stąd po prostu przekwalifikowali się i uczy innych przedmiotów. Są tacy, którzy w tym roku szkolnym zatrudnieni są na 1,5 etatu. Zdarza

się, iż presja wobec katechety odnośnie uczenia edukacji zdrowotnej pochodzi od pracodawcy. Natomiast katecheci często uczyli przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie i dobrze realizowali się w podjętym zadaniu. Osobiście, przez kilkanaście lat cieszyłem się, że mogłem uczyć młodych ludzi w wieku 18-20 lat realizując przygotowanie do małżeństwa, relacji przyjaźni, czystości, miłości, wierności i wyłączności w związku małżeńskim oraz kwestii dotyczących rodziny. Z tego tytułu nieliczni nauczyciele religii podjęli się nauczania edukacji zdrowotnej.

Jakie konsekwencje może mieć to w debacie publicznej?

Niektórzy katecheci wpadli w pułapkę, jaką zastawiła minister Barbara Nowacka. Dali jej oręż propagandowy. Niewątpliwie pani minister wykorzysta medialnie fakt, iż edukacji zdrowotnej uczą nauczyciele religii i zapewne wskaże konkretne liczby. Jestem pewny, że są niewielkie (wymieni na przykład katechetów uczących tego przedmiotu w liczbie kilkuset na 29 800 nauczycieli zatrudnionych w 2023 roku). W podobny sposób działali lewicowi działacze w USA w kwestii aborcji, a w Polsce komuniści, którzy w latach 1945-1989 wykorzystywali nieumiejętne posługiwanie się językiem niektórych księży, aby rozbijać Kościół od wewnątrz i atakować wybitnych kapłanów: Wojtyłę, Wyszyńskiego, Popiełuszkę, Błachnickiego, rozbijając Kościół od środka głównie przez działania SB.

Czy zna pan przypadki katechetów, którzy podjęli się nauczania edukacji zdrowotnej z własnej woli?

To dla mnie najbardziej bolesna kwestia. Znam jedną nauczycielkę religii, która świadomie i dobrowolnie podjęła promocję edukacji zdrowotnej w zaproponowanym kształcie. Nie będę jej osądzał, ale podejmę z nią i panią mini-

ster publiczną polemikę. Po ich wypowiedziach, wręczeniu mi tematów edukacji zdrowotnej dla klas 4-8 stwierdzam, że obie panie nie widzą sprzeczności w nauczaniu tego przedmiotu z nauczaniem Kościoła, nie dostrzegają nasycenia lewicową, genderową ideologią w EZ z odcieniami LGBTQ+. Z przykrością muszę stwierdzić, że świadczy to o brakach w wiedzy biblijnej, teologii, nauki o małżeństwie i rodzinie Kościoła katolickiego, a zwłaszcza nauk aksjologicznych. Na wstępie wspomnę o Słowie Bożym objawionym na kartach Pisma Świętego, które ukazuje przede wszystkim dziecko, członka rodziny jako dar Boga, a nie zagrożenie dla związku, o czym świadczą tematy o hedonizmie, antykoncepcji i aborcji. Księga Psalmów uczy „Oto synowie są darem Pana, a owoc łona nagrodą” (Ps 127,3). Prorok Jeremiasz dodaje, iż dziecko pochodzi od Boga i jest znane przez Niego jeszcze przed urodzeniem: „Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię, nim przyszedłeś na świat” (Jr 1,5). Podane cytaty podkreślają rolę dziecka i wskazanie na jego godność już od chwili poczęcia. Św. Mateusz wskazuje, iż powinniśmy stać się jak dziecko i przyjąć je, gdyż w ten sposób przyjmujemy Chrystusa: „Jeśli się nie odmienię i nie stanęcie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego. Kto się więc ułoży jak to dziecko, ten jest największy w Królestwie niebieskim” (Mt 18,3-5). Z kolei św. Marek Jezus rzekł do uczniów: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże. Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego” (Mk 10,14-15). Biblia poucza także o obowiązku troszczenia się o dziecko przez dorosłych poprzez dbanie o nie i odpowiednie wychowanie. W ST czytamy: „Wdra-

żaj chłopca w prawidła jego drogi, a nie zejdzie z niej i w starości” (Prz 22,6). Natomiast w NT czytamy: „Wy, ojcowie, nie pobudzajcie do gniewu waszych dzieci, lecz wychowujcie je stosując karcenie i napominanie Pańskie!” (Ef 6,4). Św. Paweł zachęca więc do wychowania ich w dyscyplinie i miłości Bożej, zamiast pobudzania do gniewu. Staje więc pośrednio przeciw agresji wobec dzieci, a całość nauczania biblijnego podkreśla ochronę dzieci przed złem i niebezpieczeństwami (złem oczywiście nie jest nauka o zdrowiu somatycznym i psychicznym). W czasach patrystycznych dziecko było nie tylko człowiekiem w rozwoju, ale ikoną pokory, niewinności i zaufania oraz pełnoprawnym uczestnikiem wspólnoty wierzących. Ojcowie Kościoła uczyli głębokiego szacunku dla godności dziecka jako stworzenia Bożego. Niewinność dziecka, jego pokora oraz prostota są podkreślane i stawiane jako wzór.

Jakie miejsce w tym sporze zajmuje nauczanie Kościoła katolickiego?
Pani minister oraz część katolików zapomina niekiedy o najważniejszych dokumentach Vaticanum II o małżeństwie i rodzinie. Z najważniejszych

publikacji, wymienię choćby „Miłość i odpowiedzialność” Karola Wojtyły wydaną przez Towarzystwo Naukowe KUL wielokrotnie w Polsce i zagranicą. Publikacja stanowi uzasadnienie norm katolickiej etyki seksualnej. Główne myśli odnoszą się do wyjątkowej natury osoby ludzkiej, normy personalistycznej, godności ciała, początku i natury miłości, istoty miłości jako bezwarunkowego wyboru, a także wypaczeń wobec miłości. Ważną kwestią akcentowaną przez autora jest natura małżeństwa i miłość, która jest jego istotą. Z encyklik i adhortacji papieskich na przestrzeni XX-XXI w. wymienię encyklikę Pawła VI Humanae vitae (1968) o moralności poczęcia, podejmującą kwestie regulacji poczęć i antykoncepcji; encyklika Jana Pawła II Evangelium vitae o wartości życia, jego adhortacja Familiaris consortio (1981) ukazująca naukę Kościoła o rodzinie, jest swoistym summariem o zadaniach rodziny chrześcijańskiej we współczesnym świecie oraz adhortacja Franciszka Amoris laetitia (2016) o miłości w rodzinie, która kontynuuje naukę Familiaris consortio. Wykładnię o naturze sakramentu małżeństwa znajdziemy w wypowiedzi Kościoła w Katechizmie Kościoła

Katolickiego (KKK 1601-1666), dzieła Kard. Ratzingera zaakceptowanego przez Jana Pawła II.

W takim razie, jak pan ocenia samą edukację zdrowotną w obecnym kształcie?
Edukacja zdrowotna w części treści jest do zaakceptowania. Mam na myśli promowanie zdrowego stylu życia, próbę zapobiegania chorobom, rozwój umiejętności psychospo-

do tych zagadnień, np. hedonizm, który jest w centrum relacji między kobietą a mężczyzną, antykoncepcję i aborcję, rzekomą równość wszystkich innych związków wobec małżeństwa i rodziny, co jest sprzeczne z art. 18 Konstytucji RP. Wszystko to z perspektywy wierzących katolików i nauczania Kościoła, prowadzi do negatywnego wpływu na kształtowanie tożsamości uczniów. Te zastrzeżenia wo-

uki przygotowującej do życia w małżeństwie i rodzinie, bowiem na religię i WDŻ chodziło znacznie więcej uczniów niż na edukację zdrowotną. Katolicka większość została więc pozbawiona swoich praw.

A jakie jest spojrzenie Kościoła na małżeństwo i rodzinę?

Katolickie spojrzenie prezentowane na religii i często na WDŻ postrzega małżeństwo jako nierozdzielny i wzajemny związek mężczyzny i kobiety, oparty na miłości, przyjaźni, głębokiej relacji i uczynności, mający na celu dobro małżonków, zrodzenie oraz wychowanie potomstwa, co jest częścią Bożego zamysłu. Rodzina zaś stanowi także uprzywilejowaną wspólnotę w majestacie Konstytucji RP. Powołaniem małżonków jest wzajemne wsparcie i szacunek w dążeniu do rozwoju, troska o siebie nawzajem, o wychowanie dzieci w duchu chrześcijańskim. Stąd małżeństwo ma cechować otwarcie się na sakrament, czyli znak łaski Bożej, gdzie para przyrzeka sobie „wierność, miłość i uczciwość do śmierci”. Małżeństwo zawarte w Kościele, jeśli zostało dopełnione, jest trwałym węzłem, który nie może zostać rozwiązany przez człowieka.

Miłość małżeńska, wg nauki Kościoła, jest jednością mężczyzny i kobiety, która włącza się w Bożą miłość oraz zakłada jedność i wyłączność. Całe życie dotyczy tylko i wyłącznie męża i żony, zapewniając wyłączność emocjonalną i seksualną (monogamia).

Czy widzi pan sprzeczność między nauką Kościoła a edukacją zdrowotną?

Oczywiście że tak. Wypowiedzi niektórych katolików o braku sprzeczności i zgodności z personalistyczną wizją człowieka świadczą bezspornie o braku znajomości przesłania biblijnego oraz najważniejszych dokumentów kościelnych. Warto je czytać, warto do nich powracać (łac. repetitio est mater studiorum). O ile panią minister rozumiem, bo w mojej ocenie jest wrogo nastawiona do religii, chrześcijan, a zwłaszcza do biskupów, o tyle wypowiedzi nielicznych katolików źle świadczą o ich znajomości Pisma Świętego i nauki Kościoła. Bogu dzięki tylko jeden raz spotkałem się z z pozytywnym stanowiskiem nauczyciela religii wobec edukacji zdrowotnej. Widzę oczywistą sprzeczność między nauką Kościoła o małżeństwie i rodzinie, a nauczaniem edukacji zdrowotnej przez niektórych katechetów. ©®

MATERIAL INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

1111408616

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motywem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha – artysty, którego dzieła przepełnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesłać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozszerzona o dwa nowe muzea: Muzeum Narodowe

w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżowych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu. Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidual-

ną nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata – bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowanie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe – relację

z wycieczki muzealnej, która zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finansowe o wartości 5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu poka-

zała, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazły się również te z województwa pomorskiego, które zachwyciły jury i zdobyły zasłużone wyróżnienia. W gronie laureatów znalazło się aż 16 szkół z Pomorza, w tym:

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi im. Bohaterów Westerplatte w Kielnie, Szkoła Podstawowa im. ks. kan. Bazylego Oleckiego w Niepoczołowicach, Szkoła Podstawowa im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Leśnie, Zespół Szkół im. Męczenników Marszu Śmierci KL Stutthof w Garczegorzu – które w ramach nagrody odwiedziły Muzeum Narodowe w Warszawie oraz Muzeum Narodowe w Gdańsku. Ich sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa pomorskiego – z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców – do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?



Ołtarz ze stali nierdzewnej jest pełen symboli. Sieć ma tu ogromne znaczenie

Mieszkańcy Sierakowic świętują 25-lecie powrotu ołtarza do domu

Sierakowice to serce Kaszub - wieś, o której mówi się, że nigdy nie śpi. Tu wciąż coś się buduje, rozwija, powstaje. Słynie z pracowitych ludzi, z rzemiosła, z przedsiębiorczości i... największej w skali kraju demografii. Ale dziś Sierakowice znane są z czegoś jeszcze: z niezwykłego ołtarza, przy którym 6 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II odprawił mszę świętą w Pelplinie. Po tamtym historycznym wydarzeniu konstrukcja wróciła do rodzinnej miejscowości swojego twórcy i do dziś stanowi jeden z najważniejszych symboli regionu.

Pomysł zrodzony z wiary i dumy

Kiedy zbliżał się przełom tysiącleci, mieszkańcy Sierakowic zastanawiali się, jak uczcić ten wyjątkowy moment w historii chrześcijaństwa. Pojawiały się różne pomysły - krzyż, obelisk, może kapliczka. Ale los napisał inny scenariusz. Ogłoszono konkurs na projekt ołtarza papieskiego, przy którym Jan Paweł II miał odprawić mszę świętą w Pelplinie. Wygrał go artysta rzeźbiarz Jarosław Wójcik z Sierakowic. To dało początek niezwykłej historii.

Jego koncepcja była wyjątkowa.

- Wybrałem symbol sieci, bo odnosi się do Królestwa Bożego, do misji Jana Pawła II, który jak rybak ludzi łowił dla Boga, a jednocześnie do naszego Pomorza, gdzie sieć jest codziennym narzędziem pracy - tłumaczył wówczas artysta.

Projekt od razu zachwycił biskupa pelplińskiego, który uznał go za najpełniej oddający ducha regionu kaszubsko-kociewskiego.

Kiedy w Sierakowicach dowiedziano się, że ołtarz papieski zaprojektuje ich mieszkaniec, nikt nie miał wątpliwości, że to właśnie ta konstrukcja stanie się trwałym znakiem pamięci. Władze gminy zaproponowały sfinansowanie budowy ołtarza pod jednym warunkiem -

że po wizycie papieża wróci on do Sierakowic. Kuria przyjęła tę propozycję. Tak narodziła się historia, która połączyła małą kaszubską gminę z wielkim wydarzeniem w dziejach Kościoła.

Dzieło wspólnych rąk

Ołtarz wykonano ze stali nierdzewnej - symbolu trwałości i odporności. W jego kompozycji sieci unoszą duże ptaki, które jakby krążyły wokół krzyża, podnosząc jego majestat. Stół ołtarzowy przypomina naczynie ofiarne unieszone przez kapłana ku górze. Każdy element miał swoją symbolikę, każdy niósł znaczenie.

To jednak nie tylko dzieło jednego artysty. W jego realizację zaangażowało się wielu mieszkańców. Sieć z ptakami wykonali Leonard Dułak z synem Ireneuszem i współpracownikami; stół ofiarny - Marcin Okrój z pomocnikami. Tron papieski ozdobiło kaszubskimi haftami, które własnoręcznie wyszyły kobiety z Sierakowic. Wspólnota pracowała z ogromnym poświęceniem. Tu liczyła się idea.

Co ciekawe, elementy konstrukcji przewieziono... śmigłowcem. To były wyjątkowe loty, pełne symboliki. Mieszkańcy do dziś wspominają te

chwile, podobnie zresztą jak dowódca akcji.

Ołtarz wraca do domu

Po zakończonej pielgrzymce Jana Pawła II, zgodnie z wcześniejszym porozumieniem, ołtarz wrócił do Sierakowic. To był moment wzruszający. Zanim jednak stanął w centrum miejscowości, trzeba było przygotować teren.

- Wstępnie rozważono cztery różne miejsca posadowienia ołtarza. Ostatecznie przyjęto lokalizację w centrum Sierakowic - informuje Zbigniew Fularczyk, zastępca wójta Sierakowic. - Amfiteatralne ukształtowanie terenu było korzystne dla usytuowania ołtarza, ale wymagało sporych nakładów pieniężnych i robocizny. Przez środek dolinki przebiegał rów odprowadzający wody opadowe ze znacznej części Sierakowic. Dla ich odprowadzenia ułożono specjalne rury, omijające

sztuczny staw. Teren zdrenowano. Ustawiono 10 studzienek rewizyjnych, umożliwiających kontrolowanie całego systemu odwadniającego. Dla właściwego zniwelowania terenu nawieziono 9400 wywrotek ziemi i żwiru. Zużyto 12 ton cementu, 2,5 tony stali zbrojeniowej - wspomina wicewójt.

Większość prac wykonali mieszkańcy nieodpłatnie, często z zaangażowaniem własnego sprzętu. To był prawdziwy czyn społeczny. Ludzie przychodzili po pracy, po godzinach, żeby pomóc. Jak wspominają mieszkańcy, wiedzieli, że tworzą coś, co zostanie na pokolenia.

Symbol, który łączy

Dziś Ołtarz Papieski stoi dumnie w centrum Sierakowic. Otacza go park - miejsce, w którym sakralność przenika się z naturą.

- Stał się ważnym punktem wsi - dodaje Zbigniew Fular-

czyk. - Stanowi centrum parku, który udało się rozbudować i zrewitalizować. Są tu kolorowe fontanny, ławeczki jest część sakralna i rekreacyjna. To wizytówka Sierakowic, a mieszkańcy są dumni, że mają taką pamiątkę po wielkim rodaku, który w dodatku jest osobą świętą.

Ołtarz jest jedynym w Polsce zachowanym w całości miejscem celebracji papieskiej mszy świętej. To swoisty pomnik wiary, ale też pracowitości i wspólnoty. Krzyż, który wówczas stanął w Pelplinie, pozostał tam na pamiątkę wizyty, natomiast ołtarz wrócił do Sierakowic. Tak, jakby historia chciała, by dwa regiony, Kociewie i Kaszuby, na zawsze połączyła jedna papieska pielgrzymka.

Mieszkańcy świętowali wielki jubileusz

Pod koniec września 2025 roku mieszkańcy Sierakowic świętowali 25-lecie powrotu ołtarza. Po mszy świętej odbyło się spotkanie osób, które uczestniczyły w tworzeniu tego dzieła. Wójt wręczył im pamiątkowe medale, a potem wyświetlono film dokumentujący tamte wydarzenia. Były wspomnienia, sporo wzruszeń i radość, że pamięć wciąż trwa. To był czas, kiedy naprawdę czuło

się ducha wspólnoty. A wiele osób miało w tym swój udział.

- Jedni pracowali przy konstrukcji, inni gotowali dla pracujących, jeszcze inni modlili się, żeby wszystko się udało - mówi jedna z mieszkanki Sierakowic.

Sport podobnie jak wiara - łączy ludzi

Rok 2025 w Sierakowicach upływa pod znakiem jubileuszu. Rocznicą to jednak nie tylko uroczystości i wspomnienia - to również ruch, energia i radość. Bo tu świętuje się... w biegu.

19 października w parku przy ołtarzu odbędą się XXIII Biegi Wokół Ołtarza Papieskiego - wydarzenie, które od lat łączy pokolenia, promuje zdrowy styl życia i przypomina, że wspólnota to nie tylko modlitwa i tradycja, ale także przeżywanie sportowych emocji.

To jedno z najbardziej rozpoznawalnych wydarzeń sportowych w gminie. Od rana wokół ołtarza gromadzą się całe rodziny - rodzice kibicują, a dzieci z zapałem biegną. Atmosfera? Połączenie festynu, pikniku i zawodów sportowych, w których najważniejsze jest nie zwycięstwo, a udział i radość.

Na starcie staną najmłodszy dzieci, młodzież i przedszkolaki. Dla każdego przewidziano dystans odpowiedni do wieku, a dla chętnych dorosłych przygotowano bieg rekreacyjny. O 11:30 ruszy biuro zawodów, a już godzinę później teren wokół ołtarza zamieni się w kolorowe miasteczko biegowe. Wiele uczestników mówi, że to właśnie wyjątkowa sceneria sprawia, że te zawody mają niepowtarzalny klimat.

- To piękne, że 25 lat po tamtych wydarzeniach wciąż potrafimy gromadzić się razem - mówi Anna z Sierakowic. - Sport, tak jak wiara, ma w sobie moc jednoczenia ludzi.

Bo w Sierakowicach historia ma nie tylko swoje wspomnienia, ale i swoją trasę biegu - wokół ołtarza, w rytmie serc tych, którzy tę historię tworzą.

WYJĄTKOWA HISTORIA ZAKŁĘTA W STALI

Sierakowice świętują jubileusz: 25-lecie powrotu Ołtarza Papieskiego, który stał się symbolem wiary, wspólnoty i dumy z kaszubskich korzeni

Edyta Łosińska-Okoniewska

PROJEKT ZACHWYCIŁ BISKUPA
PELPIŃSKIEGO, KTÓRY UZNAŁ
GO ZA NAJPEŁNIEJ ODDAJĄCY
DUCHA REGIONU KASZUBSKO-
KOCIEWSKIEGO.



ALL ABOUT FREEDOM FESTIVAL



19.

ECS europejskie
centrum
solidarności

11–18.10.2025

FESTIWAL FILMOWY

aaff.pl

23 FILMY
W TYM POKAZY
PREMIEROWE

PRODUKCJE NAGRADZANE
NA FESTIWALACH

ROZMOWY
Z TWÓRCZYNIAMI
I TWÓRCAMI

SEKCJE DLA DZIECI,
MŁODZIEŻY I RODZIN

KONCERTY

TRUPA TRUPA

POGODNO
+ SARSA & KEV FOX

FREEDOM

Motyw graficzny AAFF 2025 | Jan Kowalski

ORGANIZATOR

ECS europejskie
centrum
solidarności

PARTNER



PROGRAM I BILETY



TO BYŁ TEN CZAS, GDY KSIĘGI TRAKTOWANO Z WIELKĄ CZCİĄ

Blisko 160 zabytków, w tym księgi liczące setki lat, można obejrzeć na nowej wystawie w malborskim zamku. Ekspozycja daje odpowiedź na pytanie o źródła dzisiejszego ekslibrisu, małej sztuki graficznej, ale ukazuje też relację człowiek – książka przed wiekami

Radosław Konczyński

Nowa wystawa czasowa w Muzeum Zamkowym w Malborku pogrążona jest w klimatycznym półmroku, ale nie tylko po to, by zrobić „klimat”, lecz również z uwagi na rodzaj prezentowanych zabytków (o czym za moment). Kierowana jest nie tylko do miłośników sztuki ekslibrisu. Obok niej obojętnie nie przejdą ci, którzy lubią popatrzeć na księgi sprzed wieków. Jest to zatem podróż – za pomocą dzieł wybranych – przez dzieje książki i małej formy graficznej, od wieków nierozdzielnie współistniejących. Świadczy o tym chociażby łaciński zwrot „ex libris” – „z książki”. W zamku zaprezentowane zostały akurat przykłady historycznego ekslibrisu na ziemiach polskich od średniowiecza do końca XVIII wieku.

- W średniowieczu dostęp do ksiąg związany był z kręgami kościelnymi, klasztorami, bo tam znajdowały się pierwsze ośrodki zajmujące się ich tworzeniem. Wraz z rozwojem nauki i powstaniem pierwszych uniwersytetów książki produkowano na potrzeby uczących się studentów, a rozwój sztuki drukarskiej spowodował, że książki zaczęły trafiać do szerszego grona odbiorców – wyjaśnia Aleksandra Siuciak, kurator wystawy „Kultura ekslibrisu w Rzeczypospolitej od XVI do XVIII wieku”, kierownik Biblioteki Naukowej Muzeum Zamkowego w Malborku.

Średniowieczne rarytasy

Wystawa ulokowana w dwóch salach Zamku Średniego w swoim tytule ma określony czasokres, ale swego rodzaju prologiem są wyjątkowe dzieła z czasów średniowiecza, wyeksponowane w Sali Naróżnej. - W tej części ekspozycji prezentujemy najstarsze formy oznaczania własności, donacji lub fundacji ksiąg. Mamy tu do czynienia z protoekslibrisami

- inaczej zwanymi ekslibrisami malowanymi. Odnajdujemy w nich przede wszystkim herby identyfikujące właścicieli czy też fundatorów, ale także ich wizerunki. Można powiedzieć, że to załączek, pierwotna forma ekslibrisu, który ewoluował na przestrzeni stuleci – wyjaśnia Aleksandra Siuciak.

Zupełnie wyjątkowym eksponatem na wystawie jest Biblia biskupa Jarosława Skotnickiego z końca XIV wieku, jeden z najstarszych śladów tego rodzaju praktyki na ziemiach polskich.

- W jej wnętrzu znajduje się przedstawienie herbu arcybiskupa oraz napis informujący o ufundowaniu Biblii dla katedry gnieźnieńskiej. Była to bardzo ciekawa postać, biskup bowiem zbudował i ufundował wiele kościołów, ołtarzy, kaplic. Zainicjował również budowę katedry gnieźnieńskiej, tuż po jego powołaniu na tron arcybiskupi – opowiada Aleksandra Siuciak.

MOŻLIWOŚĆ OBCOWANIA Z ORYGINALNYM DZIEŁEM, KTÓRE RZADKO OPUSZCZA GNIEZNO, JEST WYJĄTKOWA I NIEPOWTARZALNA

Obiekt ten przyjechał do Malborka właśnie z Gniezna – z Archiwum Archidiecezji, które ze względu na swoją wartość bardzo rzadko opuszcza.

- Można go oglądać tylko do końca października, a potem pewnie zastąpimy go reprodukcją karty z herbem arcybiskupa. Możliwość obcowania z oryginalnym dziełem, które rzadko opuszcza Gniezno, jest wyjątkowa i niepowtarzalna. Nawet w Gnieźnie jest wystawiane tylko w wyjątkowych sytuacjach – podkreśla Aleksandra Siuciak.

W części poświęconej średniowiecznym źródłom znajduje się także graduał z XV

wieku ze zbiorów Muzeum Ojców Bernardynów w Leżajsku. Na jego wyjątkowość wpływa fakt, że w tej księdze liturgicznej umieszczono malowidło fundatorów dzieła.

- Na jednej z kart znajduje się wizerunek Jana Odrowąza Młodszego, pod którym widnieją jego tarcze herbowe: Topór i Odrowąż – i właśnie tę kartę prezentujemy. Na innej karcie znajduje się z kolei wizerunek jego matki Beaty Odrowązowej, która modli się do Dzieciątka Jezus. Umieszczenie wizerunku w księdze było pokazaniem prestiżu rodu z taki przekazem: „Patrzcie, to ja tę księgę ufundowałem, je-

stem osobą pobożną” – opowiada kurator wystawy.

Kolejny bohater części średniowiecznej to biskup Stefan z Nidzicy, a dokładnie inkunabuł (załączek druku) z Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie. - W dolnej części iluminowanej karty przedstawiony jest wizerunek biskupa trzymającego tarczę ze swoim herbem. Takie ukazanie postaci wywodzi się z wzorców gotyckich. Biskup związany był z zakonem krzyżackim, ale po latach przeszedł na stronę Kazimierza Jagiellończyka. Przez pewien czas był proboszczem w kościele św. Mikołaja w Elblągu, a później objął biskupstwo chełmińskie – wyjaśnia Aleksandra Siuciak.

Ciekawym obiektem na zamkowej wystawie jest manuskrypt powstały w Bolonii w 1450 r., sprowadzony z Biblioteki Uniwersyteckiej w niemieckim Marburgu. Znajduje się w nim herb Marcina Gruszczyńskiego, brata Jana Gruszczyńskiego, arcybiskupa gnie-

nieńskiego i prymasa Polski. Ten pierwszy podczas studiów w Bolonii zlecił udekorowanie księgi herbem rodzinnym.

Nie mogło zabraknąć wuja Kopernika

Biskup warmiński Łukasz Watzenrode, wuj Mikołaja Kopernika, też zaistniał na ekspozycji. Spogląda z portretu przywiezionego z Zamku Biskupiego w Lidzbarku Warmińskim – oddziału Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Można by powiedzieć, że Watzenrode po prostu nie mogło go tutaj zabraknąć. Na początku XVI wieku regularnie odwiedzał zamek, biorąc udział w zjazdach stanów pruskich, a młody Kopernik był jego sekretarzem.

- Na ekspozycji prezentujemy inkunabuł z herbem Łukasza Watzenrode, pochodzący ze zbiorów Biblioteki i Archiwum Kapituły Konkatedralnej w Łowiczu. Obok stoi relikwiarz z Muzeum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie, który ten biskup ufundował, a potwierdza to herb znajdujący się na relikwiarzu. Chcieliśmy pokazać, że praktyka oznaczania własności czy fundacji nie dotyczyła jedynie ksiąg, a wielu dziedzin. Z czasem ten zwyczaj przeniesiono również do książek – wyjaśnia kurator wystawy.

Ekspozycja pokazuje więc nie tylko przedmioty o dużym znaczeniu historycznym, ale ma też podzielać na wyobraźnię. Istnieli tacy ludzie i takie było ich podejście do książek, sztuki, można by nawet powiedzieć, że do życia.

- Chcieliśmy przedstawić cały kontekst, bo przecież ekslibrisów nie byłoby bez właścicieli ksiąg, fundatorów, donatorów. Dla nich było ważne, żeby pokazać, że ta księga, księgozbiór należały do nich. Natomiast oznaczanie własności pokazuje też, z jaką czcią księgi traktowano w tamtym okresie, jak były ważne dla właścicieli. Jeśli powiem, że były bezcenne, to będzie coś oczywi-



Biblia biskupa Jarosława Skotnickiego jest jednym z najcenniejszych obiektów na malborskiej wystawie

FOT. RADOSŁAW KONCZYŃSKI



FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

XV-wieczna księga liturgiczna z Muzeum Ojców Bernardynów w Leżajsku

stego. Proces powstawania manuskryptu średniowiecznego trwał nieraz wiele tygodni, miesięcy, a nawet lat. W średniowieczu wielu ludzi różnych zawodów uczestniczyło w jego tworzeniu. Był to cały skomplikowany proces, począwszy od przygotowania materiałów, z których powstawały, poprzez przepisanie dzieła, iluminację i oprawę. Dlatego też księgi były tak cenne i chronione w średniowieczu – tłumaczy Aleksandra Siuciak.

Drzeworyt, miedzioryt i akwaforta

Ale jak wiadomo, świat poszedł do przodu, co widać obok, w Sali Siedmiofilarowej, gdzie już znajdują się ekspozycje odpowiadające tytułowi okresowi od XVI do XVIII w.

- Tu już stykamy się z ekslibrisami w rozumieniu luźnej kartki, która została wykonana na zlecenie i była wklejana do ksiąg, ale oczywiście ta forma, zanim doszła do dzisiaj nam znanej, przeszła pewną ewolucję, która była związana z rozwojem sztuk drukarskich i graficznych. Bez rozwoju tych dwóch dziedzin nie byłby możliwy rozwój sztuki ekslibrisu. Tę część wystawy otwierają dwa obiekty związane z biskupem Maciejem Drzewickim. Na wprowadzającej w tę część wystawy ścianie zostały umieszczone reprodukcje, nie udało się nam pozyskać oryginałów. Pierwszy powstał w 1516 roku w Wiedniu, a drugi rok później w oficynie Jana Hallera w Krakowie i to był właśnie pierwszy ekslibris wykonany tą techniką na ziemiach polskich. Szczęśliwie został wklejony do księgi, która przyjechała do nas z Łowicza. Do jego powstania użyto klocka drzeworytniczego oraz czionek drukarskich, więc mamy tu do czynienia z symbiozą grafiki i typografii – wyjaśnia Aleksandra Siuciak.

Do początków sztuki stricte ekslibrisowej zaliczają się też

XVI-wieczne zabytki związane z kanclerzem koronnym Krzysztofem Szydłowieckim: z Biblioteki Narodowej w Warszawie sprowadzono przykład dużej formy, a z Saksońskiej Biblioteki Państwowej i Uniwersyteckiej w Dreźnie – odmianę mniejszą.

- Ten sposób odbijania znaku własnościowego rozpowszechnił się w XVI wieku. Mamy klocki drzeworytnicze i czionek drukarskie, które były zwykłym typowym zestawem w użyciu w oficynach drukarskich. Ale warto też wspomnieć, że ekslibrisy mają pieczętkarskie konotacje, czyli związane są również z pieczętkami. Takie przykłady prezentujemy na wystawie: zarówno supereklibrisy, czyli te odbijane na oprawach ksiąg, jak i pieczęcie własnościowe, które odbijano wewnątrz. Poza tym, w prezentowanych na wystawie obiektach występują również wpisy własnościowe, odręczne notatki ich właścicieli, czasem z datą nabycia, co jest bardzo cenne dla dzisiejszych badaczy. Dzięki temu można prześledzić jaką drogę dzieło przeszło, w czyich rękach było. Tego typu przykłady odnajdujemy w zabytkach między innymi ze zbiorów Archiwum Archidiecezji Poznańskiej czy z Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu – opowiada Aleksandra Siuciak.

Po protekslibrisach i klockach drzeworytniczych na kartach historii ekslibrisu przyszła pora na tzw. wkłęsłodruki - miedzioryt i akwafortę.

- Ten sposób wykonania wymagał większego kunsztu od rytowników, a przede wszystkim wiązał się z kosztownością tej techniki, na którą składało się chociażby wyposażenie warsztatów, między innymi w prasy miedziorytnicze czy miedziane matryce. Jednakże rozwój form graficznych spowodował, że coraz więcej ekslibrisów zaczęto odbijać tą metodą. Mamy szereg przykładów eksponatów wykonanych tymi technikami. Zachęcam

do zapoznania się z nimi bezpośrednio na wystawie – podkreśla pani kurator.

Sławne nazwiska na wystawie

W nowożytniej części ekspozycji przewijają się takie rody, jak Sobiescy, Sapiehowie, Czartoryscy, Lanckorońscy – ekslibrisy wykonane na zlecenie zarówno w kraju, jak i za granicą. Fragment wystawy poświęcony jest rodzinie króla Jana III Sobieskiego – jemu samemu, ojcu i synowi. Znajduje się tu bardzo interesujący, niewielkich rozmiarów sztambuch Jakuba Sobieskiego, ojca króla, z ekslibrisem z inskrypcją odręcznie wpisaną w ramkę, autorstwa znanego grafika Jana Ziarnki. Obiekt ten w Polsce nie był jeszcze ekspozycyjny. Historia polskiego ekslibrisu historycznego na zamkowej wystawie kończy się wraz z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim i rozbiorem Rzeczypospolitej. Można obejrzeć m.in. sprowadzony z Muzeum Narodowego w Krakowie supereklibris nakładowy wykonany dla króla.

Papier podniósł stopień trudności

„Kultura ekslibrisu w Rzeczypospolitej od XVI do XVIII wieku” to blisko 160 obiektów z ponad 20 instytucji. Około 90 procent eksponatów pochodzi z krajowych ośrodków, zarówno instytucji państwowych, jak i kościelnych, ale także od osoby prywatnej. Najwięcej eksponatów przybyło z Muzeum Narodowego w Warszawie, które jest partnerem wystawy, oraz z Muzeum Książąt



FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

Ekslibris biskupa Macieja Drzewickiego, rok 1517

Lubomirskich – oddziału Zakładu Narodowego Ossolińskich we Wrocławiu. Swoje zbiory powierzyły też Muzeum Zamkowemu m.in. Biblioteka Narodowa, Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu, Biblioteka PAN i PAU w Krakowie, Zamek Królewski na Wawelu, Biblioteka im. Zielińskich Towarzystwa Naukowego Płockiego, Biblioteka Seminarium we Włocławku oraz wiele innych. Z zagranicznych instytucji są to Saksońska Biblioteka Państwowa i Uniwersytecka w Dreźnie, Biblioteka Uniwersytecka w Marburgu, Biblioteka Księżnej Anny Amalii w Weimarze oraz Biblioteka Polska w Paryżu.

Przygotowania trwały około dwóch lat.

- Autorem koncepcji merytorycznej wystawy i jej pomysłodawcą jest dr hab. Arkadiusz Wagner, profesor UMK w Toruniu, który wyszedł z propozycją, aby w związku z tym, że Muzeum Zamkowe w Malborku co dwa lata organizuje Międzynarodowe Biennale Ekslibrisu Współczesnego, przybliżyć zwiedzającym, skąd się on wywodzi, jakie były jego początki na ziemiach polskich – wyjaśnia Aleksandra Siuciak.

Najtrudniejszy okazał się chyba dobór, a dokładnie selekcja obiektów.

- Pierwotnie wytypowano blisko 400 zabytków, więc ogrom, którego choćby ze względów logistycznych nie byłoby w stanie pokazać. Oczywiście, najpierw powstała koncepcja, później trzeba było ją przełożyć na język muzealny. Z tego zasobu obiektów musieliśmy wybrać część i dostosować do możliwości naszego

muzeum – dodaje kurator wystawy.

Stopień trudności był podniesiony ze względu na wrażliwy materiał wystawienniczy, jakim jest papier, i to jeszcze tak wiekowy – podatny na wahania temperatury, wilgotności, naswietlenie.

- Na wystawie mamy głównie obiekty z papieru, dlatego wiąże się z tym cały szereg ograniczeń ze względów konserwatorskich. Biblia Skotnickiego będzie prezentowana w Malborku tylko przez pięć tygodni właśnie dlatego, żeby nie narażać jej na zbyt długie ekspozycje. To jest dziedzictwo, o które musimy dbać. Chcemy podziwiać te dzieła, ale musimy pamiętać o ich ochronie. Może wydawać się, że jest trochę ciemno na wystawie, ale półmrok to nie tworzenie klimatu, lecz troska o bezpieczeństwo obiektów. Musimy spełnić szereg wymogów, które stawiają przed nami również instytucje, które użyczyły nam zabytki. Papier jest materiałem szczególnie wrażliwym, nie może być ekspozycyjny dłużej niż trzy miesiące, czasem ten czas jest jeszcze krótszy. Przykładowo w przypadku obiektu z biblioteki w Marburgu po czterech tygodniach księga zostanie zamknięta, a w gablocie obok niej umieścimy faksymile interesującej nas karty z protoekslibrisem Marcina Gruszczyńskiego, żeby nie narażać jej na zbyt długie naswietlenie. Oczywiście, mamy klimatyzowane gabloty, osuszacze, nawilzacze, wszystko jest pod pełną kontrolą. Pracownia Konserwacji Zamku sprawdza czujniki, które całą dobę monitorują warunki na salach i w gablotach, a my przekazujemy instytucjom, naszym partnerom, sprawozdania na ten temat. Jesteśmy bardzo wdzięczni wszystkim instytucjom, które nam zaufały i powierzyły swoje zbiory. Dzięki temu wystawa mogła powstać właśnie w takim kształcie i aktualnie cieszyć

oczy naszych zwiedzających – podsumowuje Aleksandra Siuciak.

Ekspozycja „Kultura ekslibrisu w Rzeczypospolitej od XVI do XVIII wieku”, towarzysząca wystawie pokonkursowej XXIX Międzynarodowego Biennale Ekslibrisu Współczesnego, będzie dostępna do zwiedzania do 10 stycznia 2026 r.

Współcześnie

Nie sposób nie poświęcić trochę miejsca współczesnemu ekslibrisowi, który stał się odrębną dziedziną i sztuką samą w sobie. Biennale w Muzeum Zamkowym w Malborku odbywa się od 1963 roku, jest jedną z najstarszych imprez artystycznych w Polsce i jedną z najbardziej znanych na świecie poświęconych artystycznemu znakowi książkowemu. W tegorocznej edycji zgłosiło się 187 artystów z 25 krajów, nadsyłając łącznie 574 prace. Najwięcej zgłoszeń było z Polski i Chin, ponadto z różnych państw Europy, a także m.in. z Argentyny, Kanady, Meksyku czy Izraela.

Jury przyznało trzy główne nagrody finansowe w wysokości 10 tys., 8 tys. i 6 tys. zł, osiem równorzędnych wyróżnień i kilka nagród specjalnych. Podium było międzynarodowe. Triumfował Włoch - Pietro Paolo Tarasco. II nagrodę otrzymała Natalia Pawlus z Polski, a III - Jiří Brázda z Czech.

Po raz pierwszy wręczona została Nagroda im. Wojciecha Jakubowskiego, głównego pomysłodawcy biennale, który zmarł w grudniu 2024 roku. Wyróżniono nią Lu Wei - artystkę z Chin. Warto dodać, że dyrekcja Muzeum Zamkowego odrębnymi podziękowaniami uhonorowała Mieczysława Bieleń i Andrzeja Bortowskiego, którzy w malborskim wydarzeniu uczestniczą od samego początku.

Pokonkursowa ekspozycja znajduje się w tym samym skrzydle Zamku Średniego, co wystawa dzieł historycznych.

PROCES POWSTAWANIA MANUSKRYPTU ŚREDNIOWIECZNEGO TRWAŁ WIELE TYGODNI, MIESIĘCY, LAT. UCZESTNICZYLI W TYM LUDZIE RÓŻNYCH ZAWODÓW

Nie będzie łatwo. Jest duży opór gmin turystycznych przed zmianami - mówi Iwona Hartwich (KO), posłanka z Torunia. Taką refleksję ma po pierwszych kontaktach z władzami samorządowymi gmin, do których pod koniec sierpnia wystosowała list otwarty. Otwarte w pewnym stopniu są te władze, które zaprosiły na rozmowy. Oporu można się spodziewać tam, gdzie jest brak reakcji albo pojawia się odpowiedź: „Nie da się tak od razu”.

Hartwich w swoim liście adresowanym do wszystkich gmin turystycznych w Polsce zaapelowała o trzy podstawowe sprawy. Po pierwsze, o zapewnienie w każdej miejscowości nadmorskiej i w każdym dużym kurorcie turystycznym co najmniej jednego w pełni dostępnego wejścia do wody osobie poruszającej się na wózku inwalidzkim.

Po drugie, o uwzględnienie potrzeb osób z niepełnosprawnościami w planach zagospodarowania przestrzennego i inwestycjach turystycznych. Trzecim postulatem natomiast jest wykorzystanie opłat klimatycznych oraz funduszy unijnych na likwidację barier architektonicznych w miejscach wypoczynku.

- Zapewnienie dostępu do plaży czy kąpieliska osobom z niepełnosprawnościami nie jest łaską. To obowiązek wobec obywateli - podsumowała posłanka z Torunia. I po apelu ruszyła do pracy - na spotkania z poszczególnymi samorządami. Była już w kilku miejscach nad morzem, planuje kolejne spotkania.

Nie byłoby apelu posłanki i rozpoczętej kampanii, gdyby nie liczne sygnały, które dostawała przez całe wakacje. Zresztą, kolejne już takie. Sama jest matką niepełnosprawnego Jakuba, poruszającego się na wózku. Od lat walczy o poprawę sytuacji osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Wie, na co się teraz porzywa, ale jeśli nie dziś, to kiedy?!

A tymczasem niepełnosprawni i ich opiekunowie ślą kolejne zgłoszenia i skargi. Wyłania się z nich obraz kraju, w którym traktowani są jak obywatele drugiej kategorii. „Może dlatego, że za mało się na nas zarabia” - konstatują smutno niektórzy.

„Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Spacer nad morzem niemożliwy”

Wrzesień. „Jestem w sanatorium w Kołobrzegu. Niestety, spacer nad samym morzem niemożliwy. Nie ma jak wózkiem zjechać” - daje znać posłance Aneta.

W mediach społecznościowych reakcja natychmiastowa.

O GODNOŚĆ NA WAKACJACH. NIEPEŁNOSPRAWNI JAK TURYSŢCI DRUGIEJ KATEGORII

Brak zjazdu nad morze czy jezioro, niedostępne toalety, nieczynne windy i podnośniki, za wysokie krawężniki - to tylko początek długiej listy barier. Osoby niepełnosprawne wciąż są w Polsce turystami drugiej kategorii. Czy kampania podjęta przez posłankę Iwonę Hartwich to zmieni? Czy następne wakacje będą lepsze?

Małgorzata Oberlan



Czas skończyć z barierami na polskich plażach!

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

Posłanka Iwona Hartwich z Torunia (KO), mama niepełnosprawnego Jakuba i aktywna działaczka na rzecz poprawy sytuacji osób niepełnosprawnych i ich opiekunów, wystosowała list otwarty do władz wszystkich gmin turystycznych w Polsce. Podjęła walkę o dostępność infrastruktury dla niepełnosprawnych - zaczęła cykl spotkań

„Byłam, potwierdzam” - pisze Romana. „To prawda” - pisze Darek. „Dobrze, że ktoś się za to wziął. Niedostosowane bywają nawet te ośrodki, które teoretycznie mają podpisane umowy z PFRON-em i biorą grubą kasę za turnus. A tymczasem nie mają dostosowań, a rehabilitacja w nich nie spełnia żadnych norm. To są wyjazdy wakacyjne za kasę PFRON-u. Wszyscy o tym wiedzą, a nikt głośno nie mówi” - dorzuca Agata.

Lipiec i sierpień. „Ja z synem (niepełnosprawnym) byłam w Dźwirzynie. Tam również nie ma zejścia dla niepełnosprawnych. Owszem, jest takiego tylko kawałek. Ale co dalej? Byłam w tej sprawie w miejscowym urzędzie. Pani sobie zapisała ten problem i kazała mi jeszcze pisać do Kołobrzegu, bo oni tam podlegają” - relacjonuje pani Ewa.

- Świnoujście, Międzyzdroje, Mrzeżyno, Dźwirzyno, Kołobrzeg, Stegna, Jantar, Kąty Rybackie, Sztutowo, Sopot, Gdynia... Z tych nadmorskich miejscowości tylko Gdynia ma plażę naprawdę dostosowaną dla potrzeb osób z niepełnosprawnościami: z kompleksem zjazdów aż do samego morza, toaletami i przebieralniami przy samej plaży. Pozostałe miejscowości, nawet jeśli coś mają, to są to pseudozjazdy o długości 2-3 metrów. W najlepszym razie, jak w Świnoujściu, jest kilka zjazdów, nawet z platformami, ale do połowy plaży. Największym rozczarowaniem był dla mnie Kołobrzeg, który mieni się największym uzdrowiskiem w Polsce. Jest wprost naszpikowany barierami” - to opinia innej matki osoby niepełnosprawnej.

„Jest to ogromny problem nad polskim morzem. Przykła-



Iwona Hartwich z synem

FOT. FACEBOOK/IWONA HARTWICH

dem jest Rewal. W kwietniu 2025 roku oddano tam nowe, wygodne zejście z 57 schodami. Ale niedostępne dla osób niepełnosprawnych” - opisuje pani Anna.

Nie chodzi tylko o morze. I nie tylko o osoby na wózkach...

W przywoływanym Trójmieście nie tylko dostęp do morza jest problemem. Wykluczeni w tym turystycznym mieście czują się ludzie z różnymi typami niepełnosprawności i w różnych jego rejonach.

„W przypadku Trójmiasta jest jeszcze jeden aspekt dostępności dla niepełnosprawnych: perony SKM. Mam niewidzącą, dorosłą córkę i całe szczęście, że mój mąż ma jeszcze siłę wziąć ją pod ramiona i przesadzić przez tę przepaść, która ziele między wagonem a peronem - doświadczyliśmy tego w Sopocie i Gdyni. W nowych pociągach też nie ma lekko - wyjście jest o jakieś 20-30 cm niżej niż peron i do tego ta przerwa między stopniem a krawędzią peronu. Być może mieszkańcy Trójmiasta już się z tym pogodzili, ale dla przy-

jezdnych to szok. Jak radzą sobie seniorzy czy osoby z ograniczeniem ruchowym? Nie mam pojęcia” - opisuje matka z Kujaŕsko-Pomorskiego.

A przecież wakacje to nie tylko morze, ale i jeziora, uzdrowiska, góry, turystyka miejska. I tutaj lista barier i najzwyczajszych upokorzeń jest długa. Po cząwszy od banalnych dla kogoś zdrowego spraw typu dostęp do WC.

„Mój mąż ma urostomię. Pojechaliśmy do Torunia pociągiem i wysiedliśmy na dworcu Toruń Miasto. Tak nam radzono, bo najbliższej starówki. Jest w remoncie. Toalety przyzwyczajony brak, tylko jakaś budka. Chcieliśmy dojść do starówki, ale mąż nie wytrzymał. Woreczek opróżniał w krzakach” - wspomina letnią wycieczkę Beata.

Jakie będą kolejne wakacje? „Są deklaracje”

Historie, relacje, sygnały można by mnożyć. Niedostępność turystyczna w Polsce to skutek długich lat zaniedbań. Niestety, także ostatnich, kiedy to wiele gmin korzystało z unijnych dotacji na rozwój swojej bazy, atrakcji etc. Już na etapie projektowania nowych inwestycji czy modernizacji starych „zapominano” o realnym ich dostosowaniu do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Realnych, bo jakieś podstawowe wymogi jednak się spełnia.

Pierwsze z cyklu spotkań z samorządami gmin turystycznych posłanka Iwona Hartwich odbyła z przedstawicielami Gdańska i Sopotu. Nie była na nim sama. Towarzyszyła jej posłanka Henryka Krzywonos oraz dwie matki niepełnosprawnych dzieci: Marzena Staniewicz i Maja Iwińska. Jakże refleksje na gorąco?

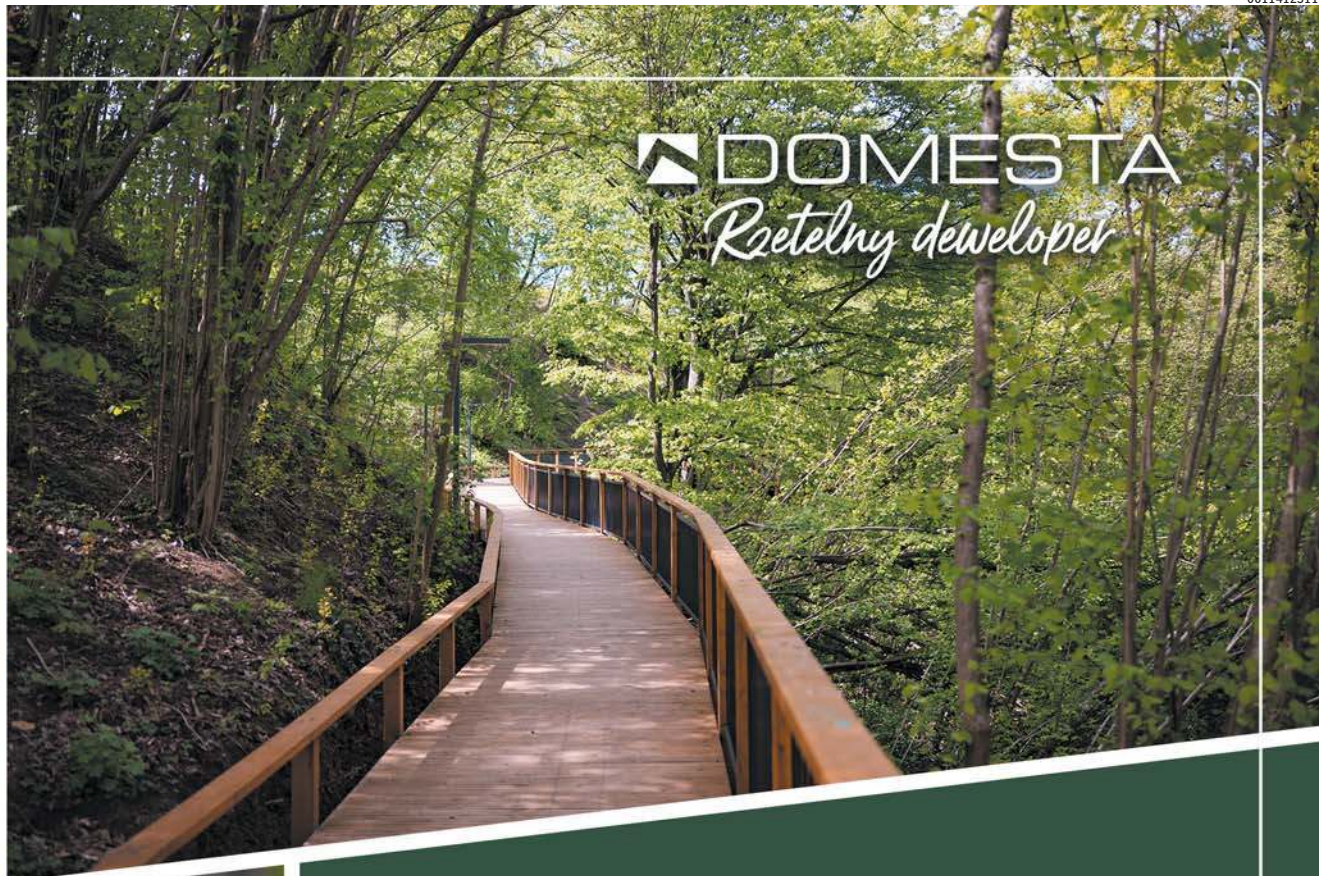
- Cóż, w Sopocie mamy kładkę do morza jedyną taką całej Polsce. Pod względem dostępności dla osób z niepełnosprawnością i komfortu może być wzorem dla każdej miejscowości. I tyle. Ze strony Gdańska plan jest taki, aby powstała chociaż jedna tego typu także u nich. Będzie kolejne spotkanie w tej sprawie, po sprawdzeniu możliwości. Pani prezydent Gdańska ma być ze mną w kontaktach - przekazuje posłanka.

Generalnie, oporne na zmiany gminy turystyczne czy uzdrowiskowe lubią mówić: postulaty słuszne, ale skąd wziąć na to pieniądze? Tutaj odpowiedź posłanki jest jednak natychmiastowa. Po pierwsze, niektóre rozwiązania są proste i niedrogie. Po drugie, gminy pobierają opłaty klimatyczne. Po trzecie zaś - są beneficjentami dotacji z Brukseli także na rozwój turystyki.

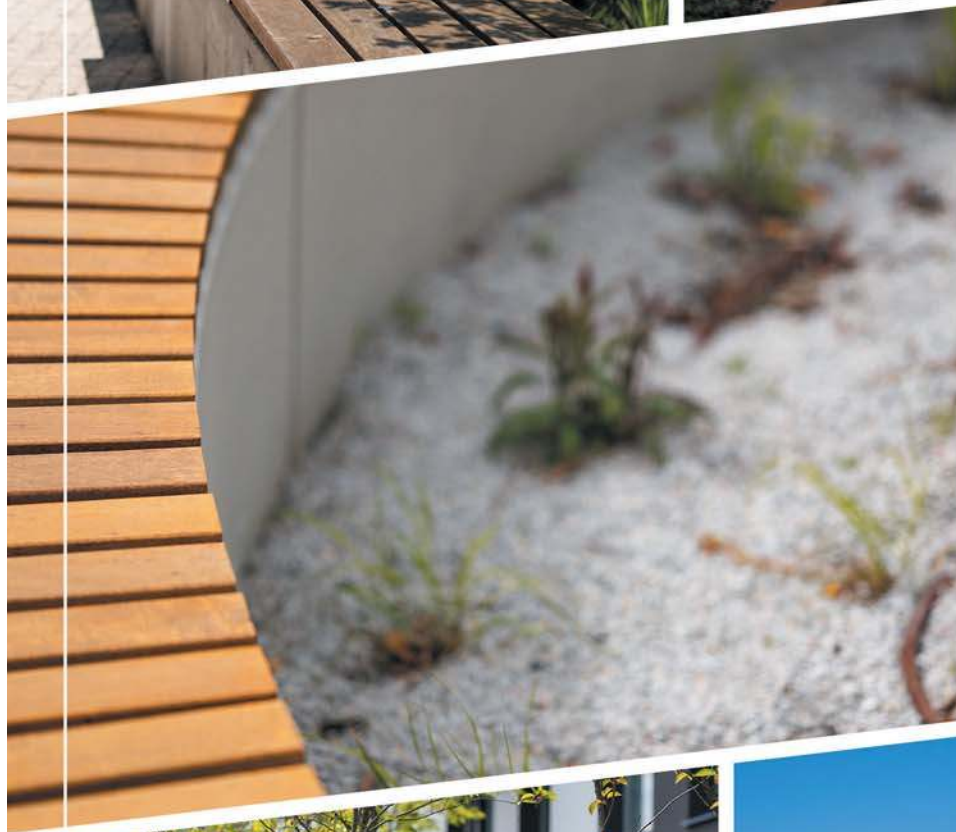
- I przynajmniej część tych środków powinna być przeznaczana na likwidację barier - podkreśla konsekwentnie Iwona Hartwich. ©

MATERIAŁ INFORMACYJNY DOMESTA

0011412311



DOMESTA
Rzetelny deweloper



Osiedle URZEKA
Drzwi OTWARTE

11 października
godz. 10:00 - 15:00



DO PRACY W AGENCJI REKLAMOWEJ NIE WRÓCĘ

Gdańszczanka Kasia Czaplewska zwiedziła 32 kraje świata i jeszcze nie powiedziała w tej kwestii ostatniego słowa. Choć studiowała marketing, to wybrała pracę w hotelarstwie, którą wykonuje na różnych kontynentach. Teraz jest w Australii, a myśląc o przyszłości ma w głowie Islandię. Jak sama mówi: lubi romantyzować sobie życie

Martyna Kucybała

Skąd się wzięła u ciebie pasja do podróżowania i odkrywania świata?

Mój tata jest marynarzem. Od dziecka w domu pełno atlasów, kochałam je przeglądać. Globus... Tata zwoził różne pamiątki, więc te podróże i dalekie miejsca były ze mną od zawsze. Tata bardzo często bywał w Angoli, a ja byłam mała i dopiero odkrywałam świat i nie mogłam pojąć, czy to Anglia czy Angola? Pierwszy raz za granicą byłam w późnej podstawówce. Potem dopiero w liceum, no i właściwie jak stałam się bardziej samodzielna, to zaczęłam podróżować. Najpierw zaczęłam dosyć dużo jeździć po Polsce, a potem z przyjaciółmi organizowaliśmy sobie jakieś wypadki raz w roku w Europie. Później to już poszło. To był długi proces i nie zdecydowałabym się na Australię, gdybym wcześniej nie przeżyła tego wszystkiego.

A skąd decyzja, żeby wyjechać z Polski bardziej w celach zarobkowych, niż tylko turystycznych?

Moją pierwszą pracę za granicą było winobranie w 2019 roku. Winobrania były wtedy mniej popularne niż teraz. Zapisalam się wtedy do grupy na Facebooku i znalazłam kolegę, który też chce pojechać. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy autostopem z Gdańska do Francji. Potem wróciłam na winobranie jeszcze cztery razy. Później pojechałam do pracy do Anglii, z tym samym kolegą z winobrania. Plan był taki, że jedziemy do Anglii popracować przez dwa miesiące i zarobione pieniądze przeznaczyć na pierwszą podróż do Azji. Trafiliśmy do takiej bardzo małej wioski, która uchodzi za jedną z najpiękniejszych wiosek Wielkiej Brytanii. Hotel, w którym pracowaliśmy był przepiękny. To jest taka typowa angielska wieś. Z tym hotelem jest też związana ciekawostka, otóż codziennie do naszego hotelu przyjeżdżały autokary pełne gości z Azji i dziwiliśmy się, skąd taka popularność tego miejsca w tej grupie. Okazało się, że w którymś roku cesarz Japonii odbył swoją pierwszą

OD DZIECKA NAJPIERW MÓWIŁAM, ŻE CHCĘ MIESZKAĆ W WARSZAWIE. POTEM MÓWIŁAM, ŻE BĘDĘ MIESZKAŁA W NOWYM JORKU I W TO WIERZYŁAM

podróż do Europy i spał wówczas właśnie w tym hotelu.

Czym zajmujesz się pracując w hotelu?

Jeśli chodzi o Francję, no to było sprzątanie. Jeśli chodzi o Islandię, no to różnie. Za pierwszym razem sprzątałam domki, za drugim razem robiłam wszystko, czyli i sprzątałam i pracowałam w restauracji jako kelnerka, za barem, czasem też na recepcji. A w Australii też robię wszystko, teraz pracuję na barze, trochę jako kelnerka. Więc w zasadzie całe takie hospitality.

A który raz jesteś w Australii?

To jest cały czas ten sam rok wizy, ale przyleciałam po raz

drugi, bo dwa ostatnie miesiące spędziłam w Europie.

I jak się żyje w Australii? Coś Cię zaskoczyło?

Zanim przeleciałam do Australii wyobrażałam, sobie, że tutaj cały rok jest gorąco. Problem z geografią w polskich szkołach jest taki, że jest uczona powierzchnie, więc nie wiedziałam dużo o Australii, zanim tu przyleciałam. Wszystkiego uczyłam się i dowiadywałam dopiero podczas podróży. Australia nie jest bardzo ciepłym miejscem, a na pewno nie przez cały rok. Gdy przyleciałam tu w grudniu, to było piękne lato i faktycznie było ciepłutko. Trwało tak mniej więcej do marca, a w kwietniu zaczęły pojawiać

się problemy. Wylądowałyśmy na południu Australii, a im wyżej, tym cieplej - im niżej, tym zimniej. Było nam chłodno, a ja nie byłam do tego przystosowana. Musiałam kupić sobie kurtkę i szalik. Domy, które oni budują, są bez ogrzewania, bo Australijczycy zakładają, że nie jest im to potrzebne. Miałyśmy farelkę, ale te domy nie są ocieplane, więc było nam chłodno, szczególnie gdy są duże amplitudy temperatur. Póki słońce świeci w ciągu dnia to jest w porządku. Wystarczy jednak, że to słońce zajdzie i robi się zimno. Tutaj jest też bardzo dużo tras narciarskich, pada śnieg i nie muszą ich sztucznie nasnieżać. Australijczycy mają narty, mają wyciągi, mają śnieg - to jest coś, czego się nie spodziewałam.

Co jeszcze cię zaskoczyło?

Myśląc o Australii miałam taki obraz, że to jest bogaty kraj. Że wszyscy Australijczycy mają kampera, mieszkają w domu z basenem, że raczej dobrze im się żyje: są zdrowi, dużo

biegają. W dużych miastach, takich jak Sydney czy Melbourne, faktycznie to widać, ale w mniejszych miejscowościach jest dość duża dysproporcja. Jeśli zarabiasz minimalną krajową albo trochę więcej i musisz utrzymać samochód, wynajem - bo mieszkania są bardzo drogie - to Australia nie jest krajem mlekiem i miodem płynącym. Zaobserwowałam również, że w Australii mają bardzo duży problem z alkoholem, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach.

Normą jest to, że gdy otwieramy w południe bar, to od tej godziny Australijczycy już piją i potrafią tak cały dzień. Częstym widokiem są również rodzice, którzy piją przy dzieciach. To bardzo dziwne, bo przepisy alkoholowe są w Australii bardzo surowe. Żeby móc sprządać alkohol, musiałam zrobić specjalny kurs państwowy. W klubach po godzinie 23.00 obowiązuje zakaz sprzedaży „shotów”. Nie można też kupić na raz więcej niż jeden kieliszek alkoholu, nawet dla ko-



FOT. ARCH. PRYWATNE

„Mam zasadę, że nie mogłabym robić czegoś, czego bym nie chciała”



FOT. ARCH. PRYWATNE

„Myślę nad Islandią, żeby może osiąść tam na troszkę dłużej”

legi. Jeśli chodzi o kluby, to ochroniarze mają specjalne tablety do sprawdzania dowodów. O dowód pytany jest każdy, bez znaczenia czy wygląda młodo, czy nie. W tych tabletach wyświetlane są też informacje, czy ktoś nie ma na przykład zakazu wchodzenia do klubów na pół roku, bo na poprzedniej imprezie zachowywał się w sposób nieodpowiedni.

Wróćmy przez chwilę do twoich podróży. Ile krajów świata odwiedziłaś?

Spodziewałam się, że zadasz to pytanie. Nigdy tego nie liczyłam aż do wczoraj, więc wiem, że byłam w 32 krajach. Nie jest to jakoś dużo, ale przecież jeszcze dużo przede mną.

A masz jakieś wymarzone kierunki, miejsca, do których chcesz pojechać?

Moim wymarzonym miejscem od zawsze był Nowy Jork i już tam byłam. Od dziecka najpierw mówiłam, że chcę mieszkać w Warszawie. Potem mówiłam, że będę mieszkała w Nowym Jorku i naprawdę w to wierzyłam. Później na przełomie gimnazjum i liceum całkowicie przestałam o nim marzyć. Chyba uległam presji otoczenia, które uważało, że Nowy Jork jest przereklamowany i nie ma tam czego zobaczyć. Odsunęłam ten Nowy Jork z mojej listy marzeń, ale potem jak już stałam się starsza, to się ocknęłam. Marzyłam o tym jako dziecko i sobie tak myślałam, że jak już będę mogła tam być, no to będę mogła zrobić wszystko. Pewnego dnia z moją koleżanką na Islandii tak sobie rozmawialiśmy i powiedziałam: hej, polecimy do Nowego Jorku i ona powiedziała, że okej. I tyle. Jakies pół roku później były tanie bilety do Nowego Jorku, wysłałam jej to, a ona powiedziała: dobra. Kupiliśmy te bilety i rok temu polecałam do Nowego Jorku i rzeczywiście było to spełnienie moich marzeń. Ja odczuwam miejsca energetycznie i w Nowym Jorku czułam się bardzo dobrze. Było to bardzo wzruszające. Lubię romantyzować sobie życie, więc to był taki tydzień trochę snienia na jawie. Kupowaliśmy „New York Timesa” i czytaliśmy na ławce, przechadzałyśmy się uliczkami i udawałyśmy, że wychodzimy z kamienicy. Wstałyśmy też na wschód słońca. Słuchałam o tym w podcaście, że warto wstać wcześniej i zobaczyć Nowy Jork, zanim on się obudzi. Żeby pójść sobie na Wall Street, zanim giełda zacznie działać. No i faktycznie ludzie latali z teczkami w garniturach, chodzili na giełdę. Czułam się trochę jakbyśmy grały w jakimś filmie. To mój ulubiony sposób poznawania miast. Jeśli jestem

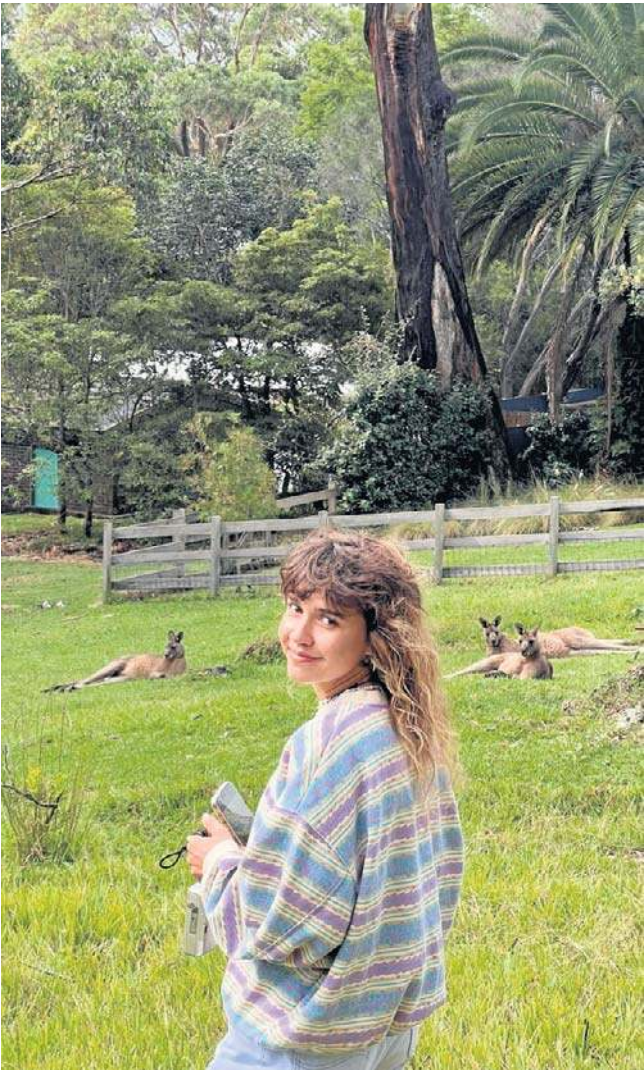
gdzieś pierwszy raz, no to najbardziej lubię pochodzić sobie po mieście i zobaczyć, jak żyją ludzie, którzy tam mieszkają i jak wygląda ich codzienność. Dla mnie to jest najfajniejsze w Nowym Jorku.

Mam wrażenie, że w polskim społeczeństwie decyzja o zrobieniu sobie gap year albo rezygnacja z podjęcia studiów i skupienie się na czymś innym, spotyka się z niezrozumieniem. Nie rozumieją rodzice młodych ludzi, ale też szersze otoczenie. Masz podobne odczucia?

Myślę, że mogę się z tym zgodzić. W Australii wiza Working Holiday jest łatwo dostępna dla wszystkich. Warunkiem są skończone studia, więc żartuję z mamą, że warto było je skończyć, ale ja - poza moimi znajomymi - nie spotkałam tu osób z Polski na tej wizie. To są ludzie z Niemiec, Francji, Hiszpanii, Włoch czy z krajów niderlandzkich. Natomiast, jak byłam w Tajlandii, to tam była masa nastolatków z Niemiec, którzy skończyli szkołę i zrobili sobie gap year. To jest bardzo popularne za granicą, a Polsce nie za bardzo. A czy warto? Myślę, że tak, bo w momencie, kiedy wybieramy studia jesteśmy młodzi i ciężko jest się zdecydować, co chcemy robić w życiu. Myślę, że taki rok na odkrycie siebie, na odkrycie jakichś innych możliwości jest bardzo przydatny, więc warto z tego skorzystać.

Studiowałaś zarządzanie. Czy w związku z tym planujesz pracować w swoim zawodzie, czy chcesz podróżować bez przerwy?

Czy chcę podróżować cały czas? Na ten moment tak, ale czasem sobie też myślę, że już bym chciała z tym przystopować. Nie wiem, w jakim kraju chciałabym zamieszkać na dłużej. Lubię Polskę, ale w najbliższej przyszłości na pewno nie jest to Polska. Myślę nad Islandią, żeby może osiaść tam na troszkę dłużej. Jeśli chodzi o pracę w zawodzie, to ja lubię pracę w hotelach, lubię pracę w hospitality. Jako małe dziecko bardzo chciałam iść do szkoły hotelarskiej i marzyłam o tym. Ostatecznie wyszło na moje. Nie poszłam do szkoły hotelarskiej, ale pracuję w hotelach. Bardzo lubię pracować z ludźmi, lubię ich gościć, lubię ich obsługiwać, więc myślę, że moja praca będzie pracą z ludźmi - może jako pilot wycieczek albo po prostu w hotelarstwie. Pracy w wyuczonym zawodzie nie przewiduję. Trochę dlatego, że ja studiowałam marketing i interesowała mnie reklama pod kątem psychologii. Reklama jest fajna, ale zanim zdecydowałam się pójść na ten kierunek, reklama nie opierała



FOT. ARCH. PRYWATNE

Życie na Antypodach może zaskoczyć pod wieloma względami, ale widok kangurów nikogo nie dziwi

O MNIE SAMEJ NAUCZYŁAM SIĘ TEGO, ŻE CZŁOWIEK JEST W STANIE PORADZIĆ SOBIE W DUŻO WIĘKSZEJ ILOŚCI ROZMAITYCH SYTUACJI, NIŻ MU SIĘ WYDAJE

się jeszcze na TikToku i na Instagramie, tak jak teraz. Pracowałam pół roku w agencji reklamowej w Trójmieście. Było to wówczas spełnienie moich marzeń. Dostałam się tam, wzięli mnie na staż, zapropowowali mi pracę. Okazało się jednak, że to już nie jest moje marzenie i zrezygnowałam na rzecz winobrania. Ja nie mam TikToka, nie śledzę trendów, a bez tego aktualnie nie da się pracować w zawodzie. Jako że nie zamierzam ulegać temu trendowi, marketing jako branża i zawód jest u mnie na przegranej pozycji. Zastanawiam się natomiast nad studiami psychologicznymi.

Czyli wybierasz ścieżkę romantyzowania życia i trzymania się tego.

Tak. Ja nie muszę mieć dużo, ale mam zasadę, że nie mogłabym robić czegoś, czego bym nie chciała i co by mi nie odpowiadało. Tak się też czułam na stażu w agencji reklamowej. Praca była super, ludzie byli super, wszystko było super i wiedziałam, że to może być spełnieniem marzeń wielu osób, ale czułam, że to nie jest moje miejsce i nie miałam oporów przed rezygnacją. Nie lubię robić rzeczy, których nie chcę robić, więc ich nie robię.

A czego nauczyły cię twoje podróże? O tobie samej, o świecie, o ludziach?

O mnie samej nauczyłam się tego, że człowiek jest w stanie poradzić sobie w dużo większej ilości rozmaitych sytuacji, niż mu się wydaje. Myślimy, że to będzie coś strasznego albo że nie damy sobie rady. A później okazuje się, że nie jest tak strasznie i radzimy sobie bez

problemu. Przynajmniej ja tak mam. O ludziach dowiedziałam się, że każdy jest inny, ale mamy rzeczy wspólne. W podróżach czynnik ludzki jest dla mnie najciekawszy. Bardzo wzruszyło mnie to, że w Australii byliśmy grupą dwudziestu dziewczyn w podobnym wieku z całego świata - z Urugwaju, Paragwaju, Europy, Nowej Zelandii... Wychowywałyśmy się w różnych kulturach, a tymczasem, kiedy miałyśmy raz imprezę wieczorem, na której leciała muzyka Justina Biebera albo z High School Musical, okazało się, że kultura popularna dociera wszędzie i że są takie rzeczy, które nas łączą. Było to dla mnie bardzo wzruszające. Nauczyłam się też tego, że ludzie są z natury dobrzy i skłonni pomagać. W Polsce jest trochę tak, że small talk i rozmawianie z obcymi nie jest zbyt popularne. A podróżowanie nauczyło mnie, że ludzie są bardzo pomocni. Nie trzeba też perfekcyjnie znać innego języka, bo i bez tego można się dogadać. Wzrusza mnie to, że na świecie są po prostu tacy dobrzy ludzie.

Życzę ci zatem, żebyś wciąż poznawała samych takich dobrych ludzi na całym świecie. Dziękuję Slicznie.

WARTO WIEDZIEĆ

Gap year to celowy, najczęściej roczny, okres przerwy od nauki lub pracy, przeznaczony na rozwój osobisty, podróże, zdobywanie doświadczenia zawodowego lub wolontariat.

REKLAMA 0011412782

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W GDYNI

informuje, że ogłasza II ustne przetargi nieograniczone na sprzedaż niewyodrębnionych lokali mieszkalnych:

POZYCJA 1
Malbork, ul. Wojska Polskiego 46 lokal nr 9, o pow. 14,30 m², poddasze, 1 pokój, łazienka z w.c., przedpokój. Do lokalu przynależy piwnica o pow. 7,20 m². Lokal posiada świadectwo charakterystyki energetycznej.
KW dla nieruchomości GD1M/00056047/7. Udział 441/10000 części we współwłasności budynku oraz we współwłasności działki gruntu oznaczonej w ewidencji nr 290/5, obręb 0006 m. Malbork, obszaru 0,1057 ha. W lokalu nr 9 - instalacja c.o. i wodna nie ma własnego zasilania (jest technicznie połączona z instalacją lokalu nr 10 i od niej zależna).
Cena wywoławcza: 62 700,00 zł Wadium: 6 300,00 zł

POZYCJA 2
Malbork, ul. Wojska Polskiego 46 lokal nr 10, o pow. 36,70 m², poddasze, 2 pokoje, kuchnia, 2 łazienki, przedpokój. Do lokalu przynależy piwnica o pow. 10,60 m².
Lokal posiada świadectwo charakterystyki energetycznej.
KW dla nieruchomości GD1M/00056047/7. Udział 970/10000 części we współwłasności budynku oraz we współwłasności działki gruntu oznaczonej w ewidencji nr 290/5, obręb 0006 m. Malbork, obszaru 0,1057 ha.
Cena wywoławcza: 152 100,00 zł Wadium: 15 300,00 zł

Przetargi odbędą się dnia 12.11.2025 r. w siedzibie OReg Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, sala konferencyjna (III piętro).
Pozycja 1 - o godz. 10:00
Pozycja 2 - o godz. 11:00

Warunkiem dopuszczenia do uczestnictwa w przetargach jest wpłacenie wadium w formie pieniężnej, ze wskazaniem jakiego przetargu dotyczy wpłaty, w terminie do 5.11.2025 r. na rachunek bankowy OReg Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni w BGK 54 1130 1121 0006 5589 8520 0008. Za ostateczny termin wnieśnienia wadium uważa się dzień uznania rachunku bankowego OReg AMW w Gdyni.
Pełna treść ogłoszenia znajduje się na tablicy ogłoszeń OReg AMW w Gdyni (I piętro) i na stronie www.amw.com.pl.
Oglądanie lokali w godzinach pracy, po wcześniejszym umówieniu się: tel. 509 894 914

PRZETARG PRZETARG PRZETARG PRZETARG

REKLAMA 0011412783

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W GDYNI

PODAJE DO WIADOMOŚCI WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O KOLEJNYM (III) USTNYM PRZETARGU NIEOGRANICZONYM

na sprzedaż prawa własności działek ewidencyjnych dz. 569 o pow. 0,2268 ha i dz. 640 o pow. 0,1552 ha - łączny obszar 0,3820 ha, obręb 0002 Cewice, położonych w powiecie lęborskim, w gminie Cewice na wjeździe do miejscowości Siemirów przy ul. Długiej (teren po byłej oczyszczalni ścieków, z posadowionymi budowlami podziemnymi). Dla nieruchomości prowadzona jest przez Sąd Rejonowy w Łęborku księga wieczysta KW SL1L/00047476/1.
Dla nieruchomości brak planu zagospodarowania przestrzennego. Zgodnie ze Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego Gminy Cewice - Uchwała XVIII/165/2020 z dnia 18.06.2020 r. - przeznaczenie terenu - tereny zamknięte.

Cena wywoławcza: 154 000,00 zł Wadium: 15 400,00 zł

Przetarg odbędzie się dnia 14.11.2025 r. o godz. 11⁰⁰ w siedzibie Oddziału Regionalnego Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, sala konferencyjna (III piętro).

Warunkiem dopuszczenia do uczestnictwa w przetargu jest wpłacenie wadium w formie pieniężnej, w nieprzekraczalnym terminie do dnia 7.11.2025 r. przez dokonanie wpłaty na rachunek bankowy Oddziału Regionalnego Agencji Mienia Wojskowego w Gdyni w Banku Gospodarstwa Krajowego numer konta 54 1130 1121 0006 5589 8520 0008 ze wskazaniem w tytule przelewu numeru działki. Za ostateczny termin wnieśnienia wadium uważa się dzień uznania rachunku bankowego AMW.
Pełna treść ogłoszenia - na tablicy ogłoszeń OReg AMW w Gdyni (I piętro) i na stronie www.amw.com.pl.

PRZETARG PRZETARG PRZETARG PRZETARG

FOTOkomentarz tygodnia



7
PAŹDZIERNIKA,
ŚWIAT

Druga rocznica masakry dokonanej przez Hamas w Izraelu wywołała globalne poruszenie. 7 października na całym świecie oglądaliśmy protesty w poparciu Izraela, ale też Palestyny (na zdjęciu demonstrant w Chile). Czy w końcu uda się opanować te emocje? Donald Trump ogłosił, że Izrael i Hamas osiągnęły porozumienie i rozejm dotyczący walk w Strefie Gazy właśnie wszedł w życie. Do poniedziałku Hamas ma zwolnić wszystkich przetrzymywanych izraelskich zakładników. Gdyby rzeczywiście do tego doszło, mielibyśmy jeden z najważniejszych geopolitycznych przełomów ostatnich lat

FOT. PAP/EPA/AILEN DIAZ

REJSUNKI



RYŚ. ISKRA



FOT. PAP/EPA/STEPHANIE LECOCQ / POOL

8 PAŹDZIERNIKA, FRANCJA. Premier Sebastian Lecornu zapisał się w historii polityki, gdyż podał się do dymisji, zanim w ogóle utworzył rząd. I przypomniał, jak głęboki jest kryzys polityczny nad Sekwaną



FOT. PAP/TOMASZ WOJASIK

8 PAŹDZIERNIKA, WIELOWIEŚ. Widoczna na zdjęciu dynia waży aż 624 kg. Była hodowana na konkurs na największą dynię, ale ostatecznie na niego nie dotarła. Stała się za to atrakcją dla mieszkańców

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerkna na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdź, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, czasem marynuje, częściej mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswój. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyżkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od praga.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzoźek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczek z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządzam z przyjacielem. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierzy wiele kilometrów, umorduje się

i nic, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemarznięty i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasja i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papająków i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne – niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

– Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem – śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechociński, po lasach biegał od dzieciaka. – Mój wuj był sołtysiem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach – wspomina.

Wuj, sołtys, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

– Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników – tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szalu nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

– W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu – mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba – same czerwone kozaki.



FOT. MARIUSZ KAPALA

Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy rydzów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześniej, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

– A kto to taki? – dopytuje.

– Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy – tłumaczy. – Więc wjeżdżam wcześniej, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji – dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

– Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? – pytam.

– Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz – tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wołowych bitek bez grzybków.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Stoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

– Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus – mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylanie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

– Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

– Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach – i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast – grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególnie znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło – wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkukrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wyszykowska mówi, że rozpoznaje z 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień – w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

– To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszaliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej – opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

– To były wspnięciały wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii – wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Część suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

– Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie – śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

– Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków – wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

– Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniej, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni – mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. – Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej – tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle – będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę – trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów zorientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszliśmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie – zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu zapełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognął do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

– Niech jeździ! – pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Glogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.

- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbru, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starzy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strome – ostrzega. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst *Robert Migdał* Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Glogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi”.

A burmistrz Eugeniusz Hoinka zapisał we wspomnieniach: „10 Maja 1945 roku, o godzinie 10.30 w imieniu władz polskich przejąłem miasto wraz z resztą ludności niemieckiej oraz rannymi jeńcami niemieckimi”.

Domy przy wtedy jeszcze Herderstrasse, nazwanej tak na cześć niemieckiego pisarza Johanna Herdera, przetrwały oblężenie Głogowa – Twierdzy Głogów, czyli Festung Glogau – zimą 1945 roku. W większości nienaruszone.

- Jedyne domy na ulicy zostały zniszczone nie w czasie Festung Glogau, ale

„Każdy dom posiadał od ulicy kwietnik, na niektórych posadzono ozdobne drzewa. Potężne modrzewie i świerki rosły do niedawna przed nr 2, 8 i 9, a przed nr 3 – okazała czereśnia. Za budynkami z obu stron urządzono ogrody warzywne. Rosły tam również drzewa i krzewy owocowe. W komórkach i w specjalnych budowlach, hodowane były zwierzęta. Niektóre mieszkania centralnie ogrzewane, inne były ogrzewane piecami kaflowymi. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędowi, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

- W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Glogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszkanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Glogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okrucami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Glogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześćro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepiłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenią sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodzinę, też się częstuję. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać.

- Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysłe („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrzynki pocztowej” – wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców – przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń – do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami – poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte – elegancko – obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wyładować imieninowy tort, obok – ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wie, że kolorowe trójkątki na płotach („wcześniej były balony, ale powie-trze z nich schodziły i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łyż radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat – jak tę tragiczno-śmieszną, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) – słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają – kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna – mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da.

Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowianie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba – mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób – uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu – dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba – mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem – radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy – dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin – każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siedzą i dzieci, i dorośli, w tym historycy – ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługują starszym, a to kawę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu – śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiedzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, znosiły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli ja-cyś sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? - dopytuję.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiedzka tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

zasady. My to szanujemy, choć integrować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak – nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, rzyk-fizyk, najwyżej przeklnie mnie albo wyśmiej, że zachwycam się 10 Mają.

Mały, zadbane dom. Równy przystrojony żywopłot, który zastania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” – opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem – na ścianie pozwieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch luster: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytuje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odwiedzającym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna

Przy płocie – dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słychać żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim naciśnie dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylił i rzucił „złym słowem” – mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłbym bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku

ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na środek ulicy. I tańczą. Cudowny widok – śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam – kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogumiła napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charakterystyki pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Napełniłam beztroską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki – dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteśmy częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).”

„Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”

„To możliwość poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Drodzy sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczyć się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbane. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze – na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin złanych deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszczą. Tak, tak. Zazdroszczą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach – ludzie się nie znają. Nie to co u nas... - mówi pani Teresa, malarka.

Jej mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca – prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo krzywo nie patrzy, nikt na nikogo źle nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarci sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił któregoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przenieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słycać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin

ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Największą uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich miastach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat!

Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilijańska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany głogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny głogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorki i w piątki przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opo-

wiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierziesz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuje, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiłmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli na środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał co będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewiąta wieczór, wprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego, dużego, który utknął przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natych-

miast przestawało pracować. Zaszył pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operację na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wylądowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, ponemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pan szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalał doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkałam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuje.

- Nie. Tu mnie cięli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świnobiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czwórkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dieciarnia na środku jezdni bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywcą pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdni się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucze mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, poddychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienie o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkałem w Głogowie, w bloku z wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?

- A państwo mieli dwóch synów.

- A jak tam siostra?

- A co słysząc u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słyszał.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmioletnim) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przysłowiowy pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

Anna Czerny-Marecka

TEN CHOPIN NIE JEST OBJĘTY
NOCNĄ PROHIBICJĄ

J eżeli pokażna grupa Polaków usypia z dźwiękami Walca Es-dur w głowie, a budzi się „słyszac” Fantazję f-moll, jeżeli w nocy rodacy spierają się ze znajomymi na komunikatorach, czy lepszy był Li, czy może Lee, to znak, że właśnie trwa kolejny Konkurs Chopinowski w Warszawie. I to jest cudne, wspaniałe, orzeźwiające. Po prostu gra muzyka! Raz na pięć lat wszyscy melomani, wielbicieli muzyki klasycznej, przestają czuć się jak margines muzyczny. Wreszcie media, te publiczne, te prywatne, i te społecznościowe są ich. Bo na medialnym straganie w dzień konkursowy takie toczą się rozmowy:

- Omdlałam, ten Walc As-dur w wykonaniu X był genialny! - O nie, Y zagrał go lepiej, X nie umie w rubato! - Ale Y miał błędy tekstowe! - Parę nietrafionych nutek jury nie weźmie pod uwagę przy tak fantastycznej muzykalności! Słyszalas frazowanie X? No Chopin płynął! - Ale dynamikę Y miał bardziej zniuansowaną!

I grają pianiści Chopina w warszawskim tramwaju i w Sejmie, a jakiś meloman programista tworzy tabelkę w Excelu, angażując AI do wróżenia z nut, kto wygra. I leca na Facebookach i Instagramach, nawet na zdawkowym X fotki, fragmenty nagrań, ochy i achy. I podziw dla jurorów, że umieli wybrać do drugiego etapu tylko czterdzieścioro pianistów z ponad osiemdziesięciu, bo przecież poziom w tegorocznej edycji wystrzelił w kosmos. I wkurzenie na jurorów, bo nie przeszedł ten/ta, którego/którą już widzieliśmy w finale. Prawda, że powinien dalej grać Mateusz Dubiel?

Chopin spłynął pod strzechy. Jeżeli widzicie kogoś, kto pracuje w urzędzie, firmie, nawet w sklepie w słuchawkach na uszach, jest duże prawdopodobieństwo, że właśnie słucha Konkursu na żywo. Jeżeli ma odpowiednie ku temu warunki, to nie tylko słucha, ale i dyskutuje na czacie z całym światem i ogląda, ogląda, ogląda...

A jest na co popatrzeć. I jacy oni są wszyscy ładni! Nie zawsze poza sceną, kiedy udzielają wywiadów czy pozują do zdjęć, natomiast zawsze, kiedy grają. Przepoczwazają się, gdy płynie przez nich muzyka Chopina.

Kiedy już patrzymy, nie da się nie zauważyć, że większość uczestników Konkursu Chopinowskiego to Azjaci. Reprezentują Chiny, Japonię, Koreę Południową, Tajwan, Malezję, a w tej edycji także USA czy Kanadę. Jakże ciekawie jest uczyć się, słuchając ich recitali, odróżniania cech wyglądu zależnych od narodowości (bo Azjaci różnią się między sobą tak jak my, Europejczycy), jak uważnie trzeba czytać imiona i nazwiska, żeby zapamiętać i odróżnić od siebie dwóch panów Chen, trzech Lee i troje chińskich pianistów Li.

Już dawno między bajki można włożyć pokutującą niegdyś wśród znawców opinie, że Azjaci grają Chopina perfekcyjnie tylko i wyłącznie technicznie, nie oddając ducha muzyki. To krzywdzący stereotyp. Są nie tylko biegli w palcach, ale i niezwykle muzykalni i świadomi niuansów interpretacyjnych. I chociaż moje melomańskie serce bije przede wszystkim dla Polaków, podziwiam Azjatów wyjątkowo, bo mieli do Chopina najdalszą drogę. Wszak wychowani zostali w innej kulturze, także muzycznej. Słyszeli w dzieciństwie inne dźwięki, inne akordy, tworzone w innych systemach tonalnych. Musieli się tego Chopina nauczyć nie tylko jako kompozytora, ale i człowieka. A przy tym polskiej kultury, w której Chopin jest tak mocno zanurzony. Ba! Wielu z nich uczy się, i to z powodzeniem, polskiego języka. A my puchniemy z dumy. Patriotycznie i narodowo, a przecież także światowo. Wreszcie mamy ku temu prawdziwy powód. Konkursie Chopinowski, trwaj, jesteś piękny!

PS Jeżeli kogoś dziwi tytuł, to wyjaśniam, że Chopin trafił nie tylko pod strzechy, ale i do sklepów monopolowych, gdyż jego imieniem nazwaną wódkę. Być może pomysł ten (dla mnie słaby) inspirowany był słynną frazą z „Wesela” Wyspiańskiego: „Chopin, gdyby jeszcze żył, to by pił”.

Adam Bula

CZARNEK SPUSZCZONY
Z ŁAŃCUCHA

P oczątek października zapisze się w historii Polski doniosłym faktem, że Przemysław Czarnek z PiS znalazł jeszcze w Polsce wieś, gdzie wypasione za eurodopłaty chałupy nie są - co do jednej - ogrodzone wypasionymi ogrodzeniami. Dzięki czemu Czarnek może być za trzymaniem psów na łańcuchach, żeby mu kostek nie obgryzały, jak po tej wsi jeździ na rowerze.

Występ byłego ministra edukacji jest typowym przykładem rozwijanej u nas sztuki komunikacji, polegającej na tym, że jak ci się zdarzy - chłopie - powiedzieć coś głupiego, to się nie przejmuj, tylko zacznij wmawiać całej reszcie, że to ona jest głupia. Jak nie zadziała, to dopiero możesz powiedzieć, że nie powiedziałeś tego, co powiedziałeś. Ostatecznie, jak już jest bardzo srogo - na wszystkie kolejne pytania w temacie zacznij odpowiadać: ale Polsce grozi inwazja Tuska z kosmosu. Albo cokolwiek, byle też na Tuska.

Czarnek, w swej roli twardego zawodnika brońącego tradycyjnych wartości umyślił sobie zatem, że powie coś w kontrze do przyjętego właśnie w Sejmie zakazu trzymania psów na łańcuchu. I odpalił w radio ZET obiektywnie koszmarnie głupawą historyjkę:

- Ja, jak jeżdżę na rowerze, to jestem szczęśliwy, kiedy widzę psa uwiązanego na łańcuchu, a nie psa, który biega luźno. Pies uwiązany na łańcuchu ma przy sobie również miskę z wodą, ma przy sobie jedzenie, ma budę i nie zagraża nikomu, kto przejeżdża - powiedział były szef resortu edukacji.

Czarnek łże tu jak pies, no chyba że nie jeździ po wsiach tylko po skansenach wsi polskiej. Nawet na Lubelszczyźnie nie ma już opcji, by wiejskie zagrody nie miały wmurowanego w ziemię albo chociaż postawionego na betonowych cokolikach ogrodzenia z siatkowych segmentów. To oczywiście w wersji dla wsiowej biedoty. Każdy polski jeź od lat zmaga się z tą plagą podnoszenia na wsi zagrodowego statusu.

Skąd więc wezmą się te psy, co to za Czarnkiem będą biegać, usiłując capnąć go za kostkę. No bo te zwolnione z łańcuchów na wiejskich posesjach mogą go co najwyżej hurtowo obszczezać z py-

skiem przy siatce. O co - tak Bogiem a prawdą - trudno by było mieć do nich pretensje...

Kostka Czarnka to już jest zresztą faza druga tej historii, gdy do bohatera dociera, że jego występ nie przysporzył mu popularności i odpala się frazę „przekreślił moje słowa”. Swoją drogą nie trzeba mieć psiego nosa, by poczuć, że Czarnek wpadł tu w sporą panikę, bo swój wpis w socialach z apelem o jego dobre zrozumienie zatytułował: „nie manipulujcie psami”. A weźże człowieku manipulnij se psem uwiązanym na łańcuchu.

Dalej to już klasyka prawicowego populizmu, importowana wprost z Oceanu: nieważne, jak bredzisz, ważne, jaką przy tym robisz minę. Więc ufnie patrząc wprost do kamerki, trzymający się po profesorsku za oprawki okularów Czarnek mówi: „oto co powiedziałem”. I... puszcza inny fragment programu niż ten, za który jest krytykowany. Jak ja zazdroszczę tupetu tym... bezwstydnym...

Więc Czarnkowi się dostaje, że powiedział w radio ZET: „jak widzę psa na łańcuchu, to jestem szczęśliwy”. Bardziej uczciwi krytykują go za całe zdanie, że jest szczęśliwy jeżdżąc na rowerze. A Czarnek, oburzony, że jego wypowiedź jest manipulowana, puszcza fragment wypowiedzi, w którym opowiada, że miał 15 lat owczarka niemieckiego.

Po czym, zdejmując już okulary, by twarz swoją pocziw uczynić w kadrze pełniejszą, dodaje, że miał tego psa w dużym kojcu na dużym podwórzu i uważa, że to jest najlepsze.

No sorry, nie jest. Ale nie chce mi się z tobą chłopie o tym gadać, za bardzo lubię psy. Nawet jak mi nie chcą zrobić miejsca na najlepszej w salonie kanapie. I nie, nie wciskamy tu sobie kitu o miastowych: nazywam się Buła, tatuś był chłopem, a ja mieszkam na wsi. Co nie znaczy, że muszę być wsiakiem.

Dalej jednakże profesor lekko się już sroży i dodaje z naciskiem: „Tak, wolę jeśli pies jest uwiązany na łańcuchu, aniżeli wałęsa się bezpańsko po wsi. Tak, wolę jeśli pies jest uwiązany na łańcuchu, aniżeli by miałby mnie kąsać po kostkach albo gryźć po kolanach. I nikt mnie nie przekona, że ugryzienie dziecka wracającego ze szkoły jest lepsze, aniżeli trzymanie psa na łańcuchu”.

No i zrobiło się srogo, a ujawnione fakty są porażające: czołowy polityk PiS przez 15 lat trzymał wielkiego psa z wielkimi zębami na wsi bez łańcucha. Ile biednych polskich dzieci, wracających ze szkoły, pokasało po kostkach oraz pogryzło po kolanach to jego niemieckie bydle?

STAINLESS STEEL

ROZWIĄZANIE: MILCZENIE JEST SKARBEM POLITYKI.

Młody zawodnik ze Słupska na międzynarodowym turnieju w Abu Dhabi

Michał Piątkowski
michal.piatkowski@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Michał Kaczmarczyk z STK Czarni Słupsk wziął udział w międzynarodowym turnieju w Abu Dhabi, reprezentując barwy NBA School Europe w kategorii U15.

NBA School Europe reprezentowało 9 zawodników z takich krajów jak Polska, Niemcy, Szwajcaria i Portugalia. Turniej rozgrywany był w kategoriach U15 i U17, z udziałem drużyn z całego świata, a jego zwieńczeniem był mecz drużyn zawodowych New York Knicks - Philadelphia 76ers rozegrany w Etihad Arenie w Abu Dhabi!



Michał był najmłodszym uczestnikiem turnieju

Michał, która ma zaledwie 12 lat, został najmłodszym zawodnikiem tegorocznej edycji turnieju! Na co dzień reprezentuje barwy STK Czarni, trenując pod okiem trenerów Roberta Jakubiaka (U13) i Daniela Orzechowskiego (U14).

PIŁKA NOŻNA MECZ LEGEND NA SUPERAUTO.PL STADIONIE ŚLĄSKIM

Lukas Podolski znów zagra dla reprezentacji Niemiec

Rafał Musioł
r.musiol@dz.com.pl

W niedzielę o godzinie 15 w Kotle Czarownic dojdzie do niezwykle wydarzenia. Biało-Czerwonych po latach znów poprowadzi trener Jerzy Engel i to w swoim słynnym płaszczu.

To kolejny mecz wspomnień na Superauto.pl Stadionie Śląskim. Po występie Ronaldinho w najbliższą niedzielę w Kotle Czarownic odbędzie się spotkanie legend Polski i Niemiec. Biało-Czerwonych poprowadzi Jerzy Engel, który wygrywając w Chorzowie z Norwegią świętował z kadrą awans do finałów mistrzostw świata w 2002 roku.

- Te reprezentacje nie nazywają się oldboyami tylko Reprezentacjami Retro z piłkarzami w wieku 50+, ale dopuszczamy też 45+. Nasza w tym roku zagrała już takie mecze w Meksyku na wyjeździe i Retro Barceloną w Polsce, oba wygraliśmy. Jak widać poważnie przygotowujemy się do tego wydarzenia - zapowiadał były selekcjoner.

W jego kadrze znaleźli się bramkarze Adam Matysek, Jerzy Dudek, Radosław Majdan oraz piłkarze Michał Żewłakow, Jacek Bąk, Jakub Wawrzyniak,



Lukas Podolski (z lewej dyrektor Stadionu Śląskiego Adam Strzyżewski), będzie jedną z gwiazd niedzielnej meczu

Marcin Wasilewski, Marcin Baszczyński, Tomasz Kłos, Marek Koźmiński, Arkadiusz Głowacki, Piotr Świerczewski, Arkadiusz Radomski, Jacek Krzynówek, Sebastian Mila, Kamil Kosowski, Artur Wichniarek, Maciej Żurawski i Radosław Gilewicz.

Piłkarze wystosowali już do selekcjonera prośbę, by pojawił się w płaszczu, a więc element garderoby, który przed laty stał się amuletem Biało-Czerwonych.

Niemcy - prowadzeni przez Markusa Babbela, byłego piłka-

rza Bayernu Monachium i Liverpoolu - zapowiadają, że na ich liście znajdują się m.im. Lothar Matthaeus, Dietmar Hamann, Roman Weidenfeller i Oliver Neuville. A także Lukas Podolski, którego występ z pewnością przyciągnie kibiców nie tylko z Zabrza.

- Mecze przeciwko Polsce zawsze są fajne, grałem w kilku, strzelałem gole. Zawsze towarzyszyła im świetna atmosfera. Teraz też będzie fajna zabawa przed meczem, po meczu i na boisku - zapowiada mistrz świata z 2014 roku.

Dla kibiców przygotowano sporo atrakcji. Dwudziestu dwóch szczęściwców będzie miało szansę na zdobycie piłek z autografami zawodników, pojawi się też opcja, by wziąć udział w serii rzutów karnych strzelanych słynnym przed laty bramkarzom. Zawodnicy będą również rozdawać autografy i pozować do zdjęć.

Bilety w cenach 60, 80 i 110 złotych można kupować przez stronę legendynaslaskim.pl.

Transmisję z niedzielnej meczu legend przeprowadzi TVP2 i TVP Sport. ©©

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że w dniu 3 października 2025 roku w wieku 79 lat zmarł nasz ukochany i nieodżałowany Mąż, Ojciec, Dziadek i Teść

Bogdan Michalski

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się mszą świętą w dniu 17 października 2025 roku o godz. 12.00 w kościele pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbe w Gdańsku Suchaninie.

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się na cmentarzu Srebrzysko w Gdańsku o godz. 13.30.

Pogrążona w ból
Rodzina

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76 www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31 tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

SKUP części nieruchomości, cała Polska, 518-503-404

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powyypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Praca

ZATRUDNIĘ

W gospodarstwie mlecznym, z doświadczeniem - zamieszkanie, 517-433-784

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie; 517-744-487

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Matrymonialne

BIURO „Serduszka Dwa” 883-783-782

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Polska powalczy o punkty eliminacji MŚ 2026

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 zespół

prowadzony wówczas jeszcze przez Michała Probiezja szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po голу Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Południowej.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Golubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie

w marcu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać

za darmo w niedzielę od godziny 20.45 na kanałach TVP1 oraz TVP Sport. Studio przedmeczowe na tej drugiej antenie rozpocznie się już o godzinie 18.45. Spotkanie prosto z trybun stadionu w Kownie skomentują Jacek Laskowski i Grzegorz Mielcarski.

Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport. ©P

Donatas Vencevicius: Jan Urban to super trener i świetny człowiek

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Donatas Vencevicius ma sporo związków z Polską. Grał w Polonii Warszawa i Górniku Łęczna, a także udzielał się w roli szkoleniowca. Rozmawiamy z nim przed meczem Polska - Litwa.

Jak oceniasz szanse Litwy w rewanżu eliminacji mistrzostw świata 2026 z Polską?

Litwie lepiej gra się z lepszymi zespołami, niedawno powalczyła z Holandią, w marcu postawiła się Polsce, urwała punkty Finlandii, pamiętamy wcześniejsze niezłe potyczki z Węgrami i Serbami. W takich meczach bazujemy na obronie i kontratakach, ale nie ma się co oszukiwać - Polska jest zdecydowanym faworytem, a o różnicy potencjałów piłkarskich nie ma nawet co wspominać. Byłem na pierwszym meczu Polski z Litwą w tych kwalifikacjach i muszę przyznać, że nie widziałem waszego gorszego występu. Pod wodzą Jana Urbana zmienił się obraz waszej reprezentacji, nowy selekcjoner dał zespołowi energię, przebudził go. Byłem kiedyś na stażu u niego w klubie i muszę przyznać, że to super trener i człowiek z silną osobowością. Jego styl bycia jest ujmujący, piłkarze pójda za nim w ogień. Już wrześniowe mecze z Holandią i Finlandią pokazały, że Polska znów obrała dobry kurs.

Świadectwem postępów litewskiej kadry jest osoba Gvidasa Gineitisa?

To pomocnik odgrywający poważną rolę w Torino - dobrym klubie, umiemy grać w piłkę. Litwa potrzebuje takich kilku, ale cieszymy się z niego bardzo i liczymy, że inni będą czynić postępy. Nasza piłka, mimo wielu problemów, szczególnie

związanych z infrastrukturą się rozwija, na pewno jednak szkoda, że żaden z klubów nie zakwalifikował się do fazy ligowej europejskich pucharów. Liczyliśmy zwłaszcza na Žalgiris Wilno. Polska to inny świat - wspaniała frekwencja na znakomitych stadionach, kapitalna otoczka wokół piłki. Miło patrzeć, jak się to u was rozwija, obecnie infrastruktury zazdrości wam wiele krajów świata.

Masz dużo związków z Polską, a czy za szczególnie uważasz, że zadebiutowałeś w reprezentacji Litwy z meczu w Ostrowcu Świętokrzyskim?

Nie zapomnę podróży autokarem przez całą noc, przybyliśmy do Ostrowca nad ranem, by zmierzyć się z silną wówczas personalnie Polską z Romanem Koseckim, Andrzejem Jusko-wiakiem, Tomaszem Wałdochem. Nie mieliśmy w tym spotkaniu nic do powiedzenia, ale cieszyłem się niesamowicie z debiutu w barwach ojczyzny, która niedługo wcześniej odzyskała niepodległość. Dla mnie występy w reprezentacji Litwy były sprawą honoru, na spotkanie z Portugalią w 2004 roku udałem się, gdy rodziła mi się córka. Selekcjoner był mi gotów dać wolne, ale żona powiedziała, że bym jechał i jej posłuchałem. Zdobyłem z karnego gola i miałem możliwość zmierzenia się z plejadą gwiazd - z Luisem Figo i Rui Costą na czele, a z ławki wszedł niezniszczalny Cristiano Ronaldo. W kadrze strzeliłem dwa gole, oba znanym golkeeperom - Jensowi Martinowi Knudsenowi z Wysp Owczych, który zasłynął bronią w wełnianej czapce i tym, że przyczynił się do sensacyjnej wygranej z Austrią w 1990 roku oraz Ricardo, wicemistrzowi Europy z 2004 roku. Mecz z Polską obejrzałem na żywo w Kownie. ©P

REKLAMA

0011413365

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

ALUPROF
GRAMY FAIR
z NATURA

www.aluprof.com/dom

MATERIAŁ INFORMACYJNY ENERGA



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Sebastian Kerk znakomicie podsumował ważny mecz, strzelając dwie bramki



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

O ważnej idei przypominała w szaliku prezydentka Gdyni Aleksandra Kosiorek

GRAMY DO JEDNEJ BRAMKI W PROFILAKTYCE PROZDROWOTNEJ

Gdynia pamięta o podkreślaniu znaczenia badań profilaktycznych. Piłkarze Arki w ligowym meczu z Cracovią wystąpili na różowo, a kibice znów mogli skorzystać z bezpłatnych spotkań z medykami.

Rafał Rusiecki



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Na meczu przyjaźni kibice Arki Gdynia i Cracovii zjednoczyli się na trybunach



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

O Różowym Październiku na boisku przypominali arkowcy w okazjonalnych strojach



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Jedyne, czego nie dało się zaplanować, to pogoda. Deszcz padał przez cały mecz

Piłka nożna jest dla kibiców - to hasło znane od lat. Zawodnicy są często wzorem dla trybun. Tym bardziej cieszy to, że Arka Gdynia wspólnie ze swoim strategicznym sponsorem Energa z Grupy ORLEN oraz Fundacją Energa zwracają uwagę na to, aby dbać o zdrowie. Październik jest do tego doskonałą sposobnością. To miesiąc, w którym szczególnie mówi się i przypomina o profilaktyce raka piersi. I chociaż nadal większą część widowni piłkarskich meczów stanowią panowie, to uświadczenie w tym temacie będzie tylko procentować, jeśli chodzi o ich part-

nerki, żony, córki, czy mamy.

Połączone siły

Arka Gdynia do rozmowy o profilaktyce chorób nowotworowych zachęciła nie pierwszy raz. Wspólnie z Energa wybrała mecz z Cracovią, czyli drużyną z południa Polski, której kibice są w serdecznych stosunkach z fanami żółto-niebieskich. Wiadomo było, że trybuny przy Olimpijskiej wypełnią się. Wiadomo również było, że nie będzie to zwykły mecz, bo Cracovia należy do czołowych drużyn w Polsce, jeśli chodzi o sportowy poziom.

Ważne więc było to, co działo się nie tylko na murawie

stadionu miejskiego, ale także wokół piłkarskiego obiektu.

- Rzecz, o której nie można zapomnieć, to różowe koszulki. Sam nie jestem zadowolony z tego, jak dbam o siebie i jak często się badam. Różowy październik nie może zostać zapamiętany tylko dlatego, że zagraлиśmy w specjalnych strojach. Dbajmy o siebie, badajmy się. Wczesna diagnoza może nam tylko pomóc - powiedział trener Dawid Szwarga po meczu z Cracovią.

Różowe koszulki na polskich boiskach to wyróżnik. Bywa, że taki właśnie kolor ma bramkarz, który w ten sposób ma się wyróżniać we własnym polu karnym. W świecie futbolu tę kolorystykę kojarzymy najczęściej z włoskim klubem US Palermo. W Gdyni różowy kolor wykorzystywany jest do promocji badań wśród kibiców.

Żółto-niebiescy promowali zdrowie pań hasłem „Pier(w)si w Gdyni”. Przy współpracy z Energa z Grupy ORLEN i Fundacją Energa przed trybuną



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Niektórzy wierzą w magię strojów. Jeśli to prawda, to Arce róż przyniósł szczęście

Górka stanął „Badabus”. To mobilny gabinet medyczny, w którym wykonywane były bezpłatne badania USG piersi oraz tarczycy dla osób chętnych. Wystarczyło z wyprzedzeniem zarejestrować się poprzez oficjalną stronę klubu.

Spotkania z fachowcami

Przed stadionem pojawił się także namiot Fundacji Energa, w którym przeprowadzana była profesjonalna analiza składu ciała przy użyciu nowoczesnego urządzenia Tanita. Co ważne, wyniki badań były na miejscu omówione przez wykwalifikowanego dietetyka.

Arka zaprosiła do współpracy także Narodowy Fundusz Zdrowia, Uniwersyteckie Centrum Kliniczne oraz Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego. Dzięki ich wsparciu odbyły się pokazy i szkolenia z zakresu pierwszej pomocy. Można się więc było zapoznać z działaniem automatycznego defibrylatora zewnętrznego, poznać techniki

WŁOSKIE US PALERMO WYSTĘPUJE W RÓŻOWYCH KOSZULKACH. W GDYNI TEN KOLOR WYKORZYSTYWANY JEST W CELU PROMOCJI BADAŃ WŚRÓD KIBICÓW

postępowania przy zadławieniach u dorosłych i dzieci, czy móc nauczyć się reagować przy ostrych reakcjach alergicznych oraz wstrząsie anafilaktycznym.

Bohater jest na różowo

Różowy mecz w Gdyni zostanie zapamiętany na długo dzięki świetnej dyspozycji strzeleckiej Sebastiana Kerka. Niemiecki pomocnik Arki dwukrotnie wpisał się do protokołu meczowego, dając ważne zwycięstwo 2:1 nad faworyzowaną ekipą Cracovii.

Kibice wciąż mogą wracać do tego wydarzenia, zaglądając do oficjalnego sklepu Arki Gdynia. Tam, obok okazjonal-

nej koszulki „kaszubskiej”, dostępne są różowe wersje - dla dzieci oraz dla dorosłych. Nie ma co ukrywać, że to prawdziwa gratka przede wszystkim dla fanek ekstraklasowej, gdyńskiej drużyny.

Do zobaczenia w listopadzie

A to nie koniec tego typu akcji promocyjnych. W ramach inicjatywy „Arka znaczy zdrowie” dużo będzie się działo także w listopadzie. Tym razem uświadczeni będą panowie. Listopad jest bowiem miesiącem solidarności z mężczyznami zmagającymi się z nowotworami gruczołu krokowego oraz rakiem jąder. ©©

RÓŻOWY PAŹDZIERNIK NIE MOŻE ZOSTAĆ ZAPAMIĘTANY TYLKO DLATEGO, ŻE ZAGRALIŚMY W SPECJALNYCH STROJACH. DBAJMY O SIEBIE, BADAJMY SIĘ



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Tym razem to bramkarz Damian Węglarz nie wyróżniał się kolorystyką na tle kolegów



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

Czy gwiazdor Cracovii Mateusz Klich zazdrościł arkowcom oryginalnych koszulek?

SPORT

www.sportowy24.pl

„Łączka” wraca do Włocławka

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Koszykarze AMW Arki Gdynia oraz Energi Trefla Sopot sezon Orlenu Basketu Ligi rozpoczęli od zwycięstw. W nadchodzącej kolejce będzie o wygrane dużo trudniej.

AMW Arka przed prawie 2 tysiącami kibiców ograła 90:83 drużynę Tasomix Rosiek Stal Ostrów Wielkopolski. Zgodnie z oczekiwaniami kluczowe role odgrywali dwaj doświadczeni koszykarze, którzy zostali pozyskani latem. Rozgrywający Kamil Łączyński zdobył 11 punktów i zaliczył 8 asyst, a skrzydłowy Jarosław Zyskowski miał 17 punktów.

- Myślę, że jesteśmy pewni siebie i pewni tego, co potrafimy. Sezon przygotowawczy był długi. Chłopacy rozegrali dużo sparingów. Ja dołączyłem na ostatnie dwa. Wydaje mi się, że ta nasza gra już fajnie wygląda i w zdecydowanie większej części meczu się zazębiała. Na pewno wszystkie drużyny są nowe. Jest nowe otwarcie i jest taka tremka, lekka presja. To nie jest tak, że nie umiemy

grać w koszykówkę. Jest nowy sezon, ale dla wielu naszych zawodników to już któryś sezon w lidze. Na inaugurację najważniejsze było zwycięstwo, a styl trzeba odłożyć na drugą, trzecią półkę. Wiadomo było, że ta nasza gra mocno falowała i chcielibyśmy się tego ustrzec w następnych meczach - powiedział nam popularny „Łączka”.

W następnym meczu będzie o to bardzo trudno, bo i poziom potencjału rywala znacząco się podniesie. AMW Arka w piątek o godz. 20.15 zagra we Włocławku z Anwillem. „Rottweilery” na starcie sezonu zgniotły Tauron GTK Gliwice, wygrywając 93:58. Brylowali rozgrywający Elvar Fridriksson (16 punktów, 6 asyst), skrzydłowy Isaiah Mucius (14 punktów, 7 zbiórek) oraz środkowy Mate Vucic (10 punktów, 9 zbiórek).

Mecz żółto-niebieskich w Hali Mistrzów będzie wyjątkowym wydarzeniem dla Kamila Łączyńskiego. Rozgrywający reprezentacji Polski grał w Anwilu w latach 2015-2019 i ostatnio 2021-2025.

Energa Trefl Sopot wygrał na inaugurację ze Śląskiem Wrocław 93:81. O to zwycię-

PIŁKA NOŻNA

W weekend drużyny z Pomorza rozegrają mecze o punkty w czwartej lidze.

Program 11. kolejki w IV lidze: godz. 19), Gryf Słupsk - Czarni Pruszcz Gdański (sobota, godz. 14), Anioły Garczegorze - Powiśle Dzierżgoń (sobota, godz. 14), KP Starogard Gdański - Jaguar Gdańsk (sobota, godz. 14), Wierzyca Pelplin (sobota,

Grom Nowy Staw - Gedania Gdańsk (sobota, godz. 11), Bytovia Bytów - Stolem Gniewino (sobota, godz. 14), Chojniczanka II Chojnice - Pomezania Malbork (5.11, godz. 19). (stan)

PIŁKA NOŻNA

Pomorskie drużyny zagrają w trzeciej lidze.

Program 12 kolejki: Cartusia Kartuzy - Kluczewia Stargard (sobota, godz. 12), Pogoń Nowe Skalmierzyce - Wikęd Luzino (sobota, godz. 14). (stan)



Kamil Łączyński mobilizujący kolegów w Gdyni do lepszej gry

stwo postarali się przede wszystkim rutyniarze, czyli rozgrywający Jakub Schenk oraz środkowy Mikołaj Witliński. Teraz spróbują zaskoczyć także Dzikie Warszawa w meczu wyjazdowym. A stołeczna drużyna przeszła wielką metamorfozę składu przed tym sezonem. W zespole są ograni

w OBL-u Łukasz Frąckiewicz i Grzegorz Kamiński oraz utalentowany Krzysztof Kempa. Dzikie wygrały wszystkie sześć sparingów, a na początek sezonu wygrali w hali beniaminka z Krosna 95:80.

- Dzikie to dobra drużyna. Mają za sobą świetny okres przygotowawczy i zwycięstwo

w pierwszym meczu ligowym. Grają szybko, są zgrani i mają pomysł na swoją koszykówkę. Widzieliśmy to w preseasonie, ale uważam, że musimy patrzeć na siebie. Myślę, że jesteśmy naprawdę trudną drużyną do pokonania, która uparcie i konsekwentnie przeszkadza rywalom. Zobaczymy, co się

stanie w sobotę - mówi przed spotkaniem Raymond Cowels, rzucający obrońca Trefla.

- Dzikie to zespół, który gra bardzo szybko, świetnie egzekwuje założenia i czyta grę. Mają bardzo dobrych zawodników, szczególnie obwodowych. Zagraniczni zawodnicy wnoszą dużo jakości, a dodatkowo mają Łukasza Frąckiewicza i Grzegorza Kamińskiego. To bardzo ciężki rywal, do którego musimy się mocno przygotować - ocenia Jakub Pendrakowski, asystent trenera Trefla.

Mecz Dzikie Warszawa - Energa Trefl Sopot rozpocznie się w sobotę o 20 w Hali Koło.

Czarni zaliczyli nieudany początek rozgrywek w Dąbrowie Górniczej, gdzie przegrali z MKS-em 71:83. Spotkanie zapewne potoczyłoby się inaczej, gdyby nie „przespana” pierwsza kwarta 10:29. Dobry występ zaliczył w zasadzie tylko Szymon Tomczak, który w ataku rzucał na wysokiej skuteczności (14 punktów).

W niedzielę o godz. 17.30 w Hali Gryfia Energa Czarni Słupsk podejmą zespół King Szczecin.

©P

Lechia wygrywa sparing i czeka na ozdrowienie kluczowych piłkarzy

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk wygrała sparing z czwartoligowym zespołem Czarnych Pruszcz Gdański 5:2. Mecz rozegrano systemem 2x30 minut.

Pod nieobecność trenera Johna Carvera, który poleciał do Szkocji, drużynę z PKO Ekstraklasy prowadził jego asystent Radosław Bella. Na boisku pokazali się młodzi zawodnicy oraz ci, którzy w tym sezonie mają rozegranych mniej minut.

John Carver udał się do Szkocji, gdzie z honorami zostanie pożegnany na zakończenie swojej pracy z reprezentacją tego kraju. Zastępuje go Radosław Bella, a mecz z Czarnymi to dla biało-zielonych była bardziej jednostka treningowa. Ważnym punktem było spotkanie piłkarzy z kibicami. Zabrakło tego po ostatnim me-

czu ligowym z Wisłą Płock, więc tym razem fani mogli robić sobie zdjęcia z zawodnikami i zbierać autografy.

Dla Lechii to był jeden z etapów przygotowań do kolejnych meczów w PKO Ekstraklasie i STS Pucharze Polski, które rozgrywane będą po przerwie reprezentacyjnej. Drużyna z Gdańska chce awansować do kolejnej rundy pucharowej, a w lidze punktować i wydostać z dna tabeli. Dlatego kluczowe jest, aby wszyscy piłkarze byli zdrowi i mogli pomagać zespołowi na boisku. Niestety, tak różowo nie jest.

Pewne jest to, że na najbliższy mecz z Piastem w Gliwicach gotowy będzie Camilo Mena. Kolumbijczyk akurat z Wisłą pauzował za kartki i wraca do gry. W pozostałych przypadkach jest więcej znaków zapytania niż jasnych sytuacji. Z grona zawodników kontuzjowanych do treningów i gry wrócił Bujar Pllana, który



Rifet Kapić z Lechii Gdańsk chce wyleczyć uraz do meczu z Piastem w Gliwicach

już w spotkaniu z zespołem z Płocka był na ławce rezerwowych. Plusem jest też wznowienie treningów przez Antona Carenkę. Jednak biorąc pod uwagę to, ile czasu pauzował oraz jak niewielki wpływ miał wcześniej na grę zespołu, to trudno liczyć na to, że teraz okaże się zbawieniem. Jednak nie da się ukryć, że jego powrót to dobra wiadomość, bo jak tylko będzie gotowy do gry, to zwiększy pole manewru sztabowi szkoleniowemu.

Trudno za to dziś określić gotowość do gry w przypadku kluczowych piłkarzy, jak Iwan Żelizko, Rifet Kapić czy Matus Vojtko. Właśnie Vojtko zagrał w meczu z Wisłą ze złamanym palcem u nogi i to nie jest uraz, który da się teraz wyleczyć w kilka dni. Sytuacja będzie na bieżąco monitorowana i pewnie Vojtko będzie pomagał drużynie na tyle, na ile będzie to możliwe. Także z urazem zmaga się Rifet Kapić. Ka-

pitan gdańskiego zespołu grał w meczu z Wisłą, choć nie było w pełni zdrowia. Teraz sztab medyczny stara się, aby „Riki” doszedł do zdrowia na spotkanie z Piastem i pomógł drużynie na boisku.

Skomplikowana jest także sytuacja Żelizki, który wciąż nie wrócił do treningów. Iwan z kolei zmaga się ze skręceniem kostki, a tego urazu nabawił się w meczu STS Pucharu Polski z Pogonią Grodzisk Mazowiecki w Pruszkowie. Opuścił dwa kolejne mecze ligowe i dziś nikt nie da stuprocentowej gwarancji, że Iwan zagra w spotkaniu z Piastem. W przypadku problemów Kapić i Żelizki w odwodzie pozostają Tomasz Neugebauer oraz Bartosz Szczepankiewicz.

Pewne jest za to, że nie długo na boisku nie pojawi się Alvis Jaunzems. Łotysz zerwał mięsień łydki i może nie zagrać już do końca roku.

©P